

Z DZIEJÓW WALK i CIERPIENIA NA KRESACH



Książnica Polska Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie.
Z funduszu wydawnictw Brygady Lwowskiej.

M. SOZAŃSKI

Z DZIEJÓW WALK I CIERPIEŃ NA KRESACH

WŁADYSŁAW OROBKIEWICZ

Z DZIEJÓW WALK I CIERPIEŃ NA KRESACH

Z 12 ILUSTRACYAMI



LWÓW-WARSZAWA
KSIĄŻNICA POLSKA TOW. NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH
Z FUNDUSZU WYDAWNICTW BRYGADY LWOWSKIEJ
1919

411265

7188

56

CAŁY DOCHÓD NA FUNDUSZ POMOCY DLA RODZIN PO POLEGŁYCH
W OBRONIE LWOWA

118240
III

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

10.9.56.

60.1.55



ODBITO W DRUKARNI „GRAFIA” WE LWOWIE

L W Ó W



Czesław Maciejowski

NACZELNY KOMENDANT WOJSK POLSKICH
W OBRONIE LWOWA 1. XI. — 22. XI. 1918.

DO MIESZKAŃCÓW LWOWA

Rodacy!

Lwów w naszych rękach.

Dziki najazd ukraiński na stolicę kraju, został po bohaterskich i krwawych walkach odparty. Droga, a obfitą krwią polską, okupił Lwów swą wolność, krwawiąc się przez trzy tygodnie, wśród strasznych warunków, walcząc z wrogiem, wolnym od poczucia wszelkiej odpowiedzialności.

Dzięki mężnej postawie całej ludności miasta, dzięki jego bohaterskim obrońcom, dzięki wreszcie wytrwałości i cierpliwości, z jaką polska ludność miasta znosiła terror i głód — Lwów pozbył się najeźdźców i dał wspaniały wobec całego świata dowód, że był, jest i zawsze pozostać musi polskim miastem.

Wam mieszkańcy miasta Lwowa, przypada historyczna zasługa obrony swego grodu.

Wam winna dziś cała Polska głęboką cześć, wdzięczność i podziękę, za Wasze bohaterstwo, za bezprzykładne poświęcenie i trudy.

Okażcie do końca wielkość ducha. — Karność i porządek niech zapanują w zwycięskim mieście.

Spokojna ludność ruska, niesolidaryzująca się czynnie z aktem terrorystów ukraińskich, może liczyć na pełne uszanowanie swych praw, zgodnie z tradycją, cechującą od początku naszą historię.

NACZELNA KOMENDA WOJSK POLSKICH

Lwów 22. listopada 1918

MĄCZYŃSKI, m. p.



Niepoczesną rolę odgrywał do niedawna w szeregu polskich miast stołecznych, nasz Lwów.

Z uczuciem wyższości spoglądał nań królewski Kraków, pokpiwała z niego dowcipna Warszawa, z lekceważeniem traktował go praktyczny Poznań.

I nie dziwota! Zszedłszy z swej wiekami dzierzonej roli „Przedmurza Polski“, stracił swój główny cel istnienia.

O zasługach przeszłości wkrótce zapomniano, a współczesność niewesoła była...

Nie dlatego, by Lwów dostosował się do „konjunktury politycznej“ i nabrał „lojalnej orientacji“.

„Lojalnym“ Lwów nigdy nie był!

Przeciwnie! Zawsze żyła w nim rogata dusza lwowskiego mieszczucha i zawsze mu się marzyła... „Najjaśniejsza Rzeczpospolita“...

Zostawszy jednak stołecznem miastem nowego „kraju koronnego“, stał się mimo, a także wbrew swej woli, terenem pierwszych praktyk centralistycznych i kuźnią, z której wychodziły najpotworniejsze tych praktyk projekty.

Stąd wypuszczano na całą Galicyę sfory wygłodniałych Czechów, którzy z gorliwością, którejby im mogli pozazdrościć najzjadlejsi pruscy „kulturtregerzy“, węszyli, denuncywali i niszczyli wszystko „politycznie podejrzanę“, to znaczy, co polskie...

Stąd wychodziły nakazy rewizyi, aresztowań, straceń, a także ten wyjątkowy w swej potworności nawet u państw trójzaborczych, nakaz rzezi w roku 1846...

Tu wreszcie stała się ciałem ta właściwa dewiza Habsburgów „*divide et impera*“!

We Lwowie mianowicie dał się słyszeć pierwszy syk tej żmiji, który powaśnił dwa dotąd w zgodzie obok siebie żyjące narody...

Potworny dwugłowy orzeł zrodził „Świętojunców“...

Z nieufnością zatem, a często ze strachem spoglądała reszta Galicyi w stronę Lwowa, a uczucie to udzielało się i pozakordonowym dzielnicom.

Więc choć pod sztucznym blichtrzem „c. k. gubernialnego miasta“ zawsze żyła w nim polska dusza, choć nieraz zeń strzelił jasny promień światła, który chociaż na chwilę rozświetlał w całej Polsce ponurą ciemność „nocy niewoli“, choć z niego rozległ się niejednokrotnie odważny i silny, prawdziwie polski głos, targając z niespodzianą mocą uśpione struny serc rodaków, to wszystko to nie było w stanie rozprószyć tego dziwnego uczucia lekceważenia z jakim reszta Polski spoglądała na Lwów.

Aż stał się „Cudów Cud“...

Polska zmartwychwstała!...

Zaraz w pierwszym dniu wrócił Lwów do swej dziejowej roli, a choć nie od razu z tą zmianą pogodziła się reszta Polski, która jej z początku wprost pojąć nie mogła, on nie dbał o to!

Dzieje i duch polski wiecznie w nim żyjący, kazały mu być „Przedmurzem Polski“, więc on niem był, jest i będzie!

Że to, co piszę, nie jest frazesem, zrodzonym pod wrażeniem chwili, którą tu przeżywamy, wystarczy choćby przelotnie wglądnąć w jego dzieje.

Lwów leży na prastarej polskiej ziemi. Najstarszy ruski kronikarz Nestor mówi o niej: „W roku 981 wyruszył Włodzimierz na Lachów i zabrał grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne“.

Obszar ten obejmował mniej więcej niedawną, tak zwaną „Wschodnią Galicję“.

— Że Lachy są to Polacy, chyba dowodzić nie trzeba.

Dwukrotnie odbijali Polacy zabraną im ziemię, a to pierwszy raz Bolesław Chrobry, drugi raz Bolesław Śmiały.

Po tym królu, znowu ją posiadli książęta ruscy i dzierżyli do roku 1340.

W tym okresie czasu powstał Lwów.

Założył go około 1250 roku książę Lew, syn i następca księcia halickiego Danyły. Ponieważ jednak tubylcza ludność, tak najazdami tatarskimi, jak i wzajemnymi walkami książąt ruskich, była bardzo przerzedzona, a i kultura jej niewysoka, więc też pierwszymi osadnikami Lwowa byli w pierwszym rzędzie Niemcy.

Charakter miasta i jego urządzenia były zatem niemieckie, a chyba najdosadniej świadczy o tem okoliczność, że sami książęta ruscy nazywają go w swych aktach z niemiecka Lemburgiem. Ruskim był Lwów tylko o tyle, że był stolicą książąt ruskich.

Niewesołe były to czasy tak dla Lwowa, jak i dla całej krainy. Ciężkie panowanie hordy tatarskiej, której hołdownikami byli ruscy książęta i wzajemne walki tychże, nie pozwalały miastu rozrósć się w siłę i znaczenie i niejednokrotnie — pierwszy nawet założyciel jego ks. Lew — niszczone je zupełnie z nakazu hanów, którzy obawiali się siły, z natury swej mocnego grodu.

Nie dziw więc, że gdy w roku 1340 król polski Kazimierz Wielki stanął pod jego bramami, nie napotkał wielkiego oporu. Po poręczeniu swobody i wolności wyznań, miasto otwarło mu bramy.

Że zaufanie to było uzasadnione, dowiodła niedaleka przyszłość.

Nie od razu minęły dla Lwowa ciężkie chwile.

Walczył z Kazimierzem bojar ruski Dymitr Detko, a wraz z nim i horda tatarska, walczył też i książę litewski Lubart.

Rok 1353 dopełnił klęski.

W roku tym książę Lubart zdobywszy Lwów, zniszczył go tak doszczętnie, że tylko zgliszcza i gruzy pozostały po nim. Lwów dawny, ruski, czy też raczej niemiecki, przestał istnieć...

Jak Feniks z popiołów jednak, odrodził się nowy Lwów, lecz już polski, a nawet w innym miejscu.

Gdy bowiem dawny tulił się do wzgórza zamkowego, w okolicy zatem mniej więcej dzisiejszego Podzamcza, to nowy powstał na południe od niego, w miejscu, gdzie obecny rynek i najbliższe niego ulice.

Że zdanie to, reprezentowane przez najlepszego znawcę Lwowa, dyrektora archiwum miejskiego Dr. Aleksandra Czołowskiego, jest słusznem, dowodzi najlepiej chyba okoliczność, że w zupełności zgodził się z nim Dymitr Mikołajewicz Czichaczew, który bawił we Lwowie w czasie ostatniej inwazyi rosyjskiej (1914—1915), wysłany z ramienia rosyjskiego ministerstwa oświaty w celach naukowych.

Wyraz temu dał on w przedmowie swego tłómaczenia na język rosyjski dzieła Dra Czołowskiego „Lwów za ruskich czasów“, za co go też ze strony „Prykarpackiej Rusi“ spotkała zjadliwa napaść. O zbytnią zaś miłość dla nas, nie można było chyba posądzić pana Czichaczewa, referenta wyodrębnienia Chełmszczyzny w Dumie rosyjskiej!



Nowy — Polski Lwów powstał około roku 1356 i takim już pozostał nieprzerwanie przez przeciąg sześciu prawie wieków, znacząc swą polskość i przynależność do państwa polskiego swą pracą, nauką i krwią.

Już wkrótce po odbudowie, następuje pierwsze stwierdzenie polskości Lwowa i jego znaczenia dla Polski.

W owych czasach, kiedy właściwe pojęcie państwowości jeszcze nie zaistniało, i nie tylko poszczególne ziemie, lecz nawet całe państwa, stanowiły jakby własność prywatną panujących, którą oni rozporządzali nieraz wbrew woli poddanych, zawsze nad tymiż wisiała groza, że znajdą się niespodzianie pod obcem, nieraz wrogiem sobie władztwem.

Obawa tego, zwłaszcza co do Lwowa, była aż nadto uzasadniona.

Jeszcze nie przebrzmiały echa krwawych walk, toczonych o Lwów przez Ruś i Litwę, i świeżem było wrażenie znienawidzonego panowania Węgrów, któremu położyła kres królowa Jadwiga.

Łatwo więc zdarzyć się mogło, że utartym ówczesnym zwyczajem, owe kresowe miasto Polski, stanie się w chwili osłabienia państwa, lub słabości panującego, przedmiotem frymarki.

Tego właśnie obawiali się światli rajcowie miasta Lwowa i postanowili temu zapobiec.

„Wyprawili się więc — jak pisze kronikarz lwowski — radcy miasta w roku 1388 do króla Jagiełły i znalazłszy go w Lublinie, uzyskali od niego dnia 30. września, ów wiekopomny w dziejach naszego miasta dokument, którym król „przyrzeka i ślubuje, że chcąc zachować ziemie w jedności, nigdy ani Lwowa, ani obwodu jego żadnemu księciu i wogóle nikomu nie da, ani nie odstąpi, lecz je dla siebie, dla swej najdroższej małżonki królowej Polski Jadwigi i z nią spłodzonych dzieci dzierżyć będzie, i posiadać, po wieczne czasy i na wieki“.

Odnosny ustęp tego dokumentu, będącego podstawą późniejszych, umacniających nabyte nim prawa Lwowa, warto przytoczyć w oryginale:

„Cum itaque ex divisione Regni ac terrarum eius plerumque ipsius Regni nec non terrarum desolatio comitatur, ex unione vero ipsius felicia continuo suscipit incrementa, quod circa terras nostras in unione volentes omnimode conservare, promittimus tenore presencium et spondemus, quod districtum ac terram nec non civitatem nostram Lemburgensem nulli ducum ac cuipiam hominum dabimus aut quomodolibet conferemus, sed eundem districtum ac Civitatem Lembergensem pro nobis ac Inclita principe domina Hedvige Regni nostre Polonie, Consorte nostra carissima, nec non liberis nostris et corona Regni nostri Polonie tenebimus, habebimus, et habere volumus temporibus perpetuis et in evum“.

Mając w ten sposób zapewnioną spokojną przyszłość na zewnątrz, szybko rozwijał się Lwów i wkrótce stał się w Polsce pierwszym miastem handlowym, a nawet jednym z pierwszych w Europie.

Lecz troska o dobro i znaczenie miasta, nie opuszczała sławetnych jego rajców.

Czasy to już były wtedy takie, że nie tylko na zewnątrz ale i wewnątrz trzeba było się zabezpieczyć, a mianowicie przed chciwością możnowładców, którym solą w oku była potęga miast, a bogactwa ich budziły wieczny apetyt.

Aby zatem zapobiec niebezpieczeństwom na tem tle dla miasta powstać mogącym, przychodzi dnia 13. grudnia 1464 do skutku między miastem a szlachtą ziemi lwowskiej i żydaczowskiej układ, mocą którego — ustęp ten przytaczam w dosłownem tłumaczeniu — „my wymieniona szlachta połączyliśmy się z mieszczaństwem Lwowa węzłem braterskiej unii, przyjmując tychże na współbraci.

Przyobiecujem nasamprzód zachować miasto Lwów przy jego prawach i przywilejach, tudzież zwyczajach od dawna zachowywanych, a nadto tak rajcom, jakoteż mieszczanom

i całemu miastu tak radą, jak i posiłkiem i obroną pomocni będziemy zawsze i nieodzownie, a to celem wzrostu i pożytku Rzeczypospolitej“.

W dalszej treści tego dokumentu, zobowiązuje się szlachta na wezwanie miasta „dnem i nocą pospieszyć do Lwowa i życiem zarówno jak i mieniem bronić mieszczan“.

W tym dokumencie dwa niezwykle momenty należy podnieść:

1. Dbłość rajców miasta Lwowa nie tylko o dobro własnego miasta, lecz i o dobro państwa.

2. Uznanie przez ogół szlachty ważności Lwowa dla państwa, które to uznanie kazało im w razie potrzeby „dnem i nocą“ spieszyc na pomoc zagrożonemu miastu.

Wspaniały to dokument dojrzałości politycznej obu stanów, lecz i nie dziwota!

Wszak to zaczął się „Złoty wiek“ Polski; czasy jej największej potęgi na zewnątrz i początek rozwoju rodzimej kultury i świadomości narodowej.

Wzrasta więc Lwów w potęgę i sławę, a z niemi wspólnie szła w parze zawsze szczerą myśl państwowa polska i tej myśli miasto zawsze i wszędzie dawało wyraz.

Więc nie dziw, że dziejopisowi szlachty, Bartłomiejowi Paprockiemu, wyrwa się, gdy pisze o Lwowie, już nie głos pochwały, lecz wprost entuzjastyczny okrzyk na cześć Lwowa!

Pisze on w swem dziele z roku 1584: „Herby rycerstwa polskiego“ w następujący sposób o Lwowie:

„Miasto niewielkie wprawdzie samo w sobie, ale przedmieścia ma bardzo przestronne, na wiele innych miast w Polsce rządniejsze, a to dla możnych radziec i mieszczan w niem.

Gdzieby przyszło do przedniejszych radziec miasta tego, abych ci je tu wspomnieć miał, pewnie spartanien. lacedemonien. atenien. i one insze dawne civilates i regna nad nie godniejszymi chlubić się nie mogą“.

Po dniach potęgi i chwały, przyszły dni wojny i grozy...

Rzeczpospolitą Polską coraz częściej i coraz mocniej zaczęły wstrząsać nawały toczące się zwłaszcza od wschodu.

Lecz wtedy dopiero rzec można, rozbłysła jak słońce i waleczność tego grodu i po nad owe czasy wybujała jego światła i ofiarna tolerancja i wreszcie wierność dla Ojczyzny, dla Polski!

Położył się on wrogom na drodze jak lew, którego ma w herbie i nie puszczał ich do serca Rzeczypospolitej.

Wspaniałym dokumentem tych cnót, to czasy najazdu Chmielnickiego, wraz z sprzymierzonymi z nim Tatarami. Setki tysięcy obległy w roku 1648 Lwów, w którego murach ukryło się między innymi, tysiące okolicznego ludu, chroniąc się przed niewolą tatarską, na jaką układem z Tatarami, skazał lud polski i ruski ów nieszczęsny dla własnego narodu, hetman Ukrainy.

Gdy pierwsze szturmy spelzły na niczem, łatwo mógł się Lwów od dalszych ochronić.

Chmielnicki przekonawszy się, że złamanie oporu miasta zbyt wiele pochłonie ofiar, jeden tylko postawił warunek, pod którym odstąpi od miasta...

A warunkiem tym... wydanie żydów...

Z dumą odrzuciło jednak miasto ten warunek i najeźdźca po nieudanych dalszych próbach wzięcia miasta szturmem, musiał ustąpić.

Nie dziw więc, że nie gdzieindziej, lecz właśnie we Lwowie, król Jan Kazimierz dnia 1. kwietnia 1656 złożył swe sławne „Śluby“, w których przed obliczem „Wielkiej Boga-Człowieka Matki, Panny Najświętszej“ mówi: „Gdy zaś jasno widzę ku wielkiej mej boleści, że to za jęki i ucisk ludzi niskiego stanu Syn Twój, Sędzia sprawiedliwy, zsyła na



SALA GOTYCKA W DOMU DAWNIEJ KRÓLA JANA III. W RYNKU
W DOMU TYM MIEŚCI SIĘ OBECNIE MUZEUM MIEJSKIE KRÓLA JANA SOBIESKIEGO

królestwo moje mór, wojny i inne nieszczęścia przez tych lat siedem, przyrzekam i ślubuję, że po nastaniu pokoju, dla uniknięcia nieszczęść, szczerze wybadam wszystkie stany i dołożę starania, aby lud królestwa mego był wolnym od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków“.

Szlachta zaś polska, uznając zasługi Lwowa w odparciu wroga, z niezwykłą na owe czasy szczodrością, uchwała na sejmiku w Sądowej Wiszni, zwrot poniesionych przez miasto kosztów na obronę.

Końcowy ustęp tego laudum sejmikowego brzmi:

„Lwów zasłużył sobie na chwałę, że i wiarą ku Panu i męstwem przeciwko nieprzyjaciołom, których wojska niezliczone pod murami widział i najszlachetniej odparł wszystkie przeciwniej fortuny ciosy“.

W nagrodę tych zasług, nastąpiło wreszcie na sejmie w roku 1658 zrównanie Lwowa z miastami Krakowem i Wilnem, czyli tak zwana nobilitacja Lwowa.

A właściwie nie było to wcale zrównanie, lecz raczej wywyższenie go po nad tamte, gdyż dokument ten między innemi, nadawał wszystkim obywatelom miasta Lwowa szlachectwo, który to przywilej co do tamtych miast, był bardzo ograniczony.

Mądrzy rajcy jednak, nie czynili z tego przywileju użytku, słusznie przewidując, że większe z niego troski wynikłyby dla miasta, niż korzyść dla wywyższonych.

Bez szlachectwa jednak na pergaminie, lecz z szlachectwem w duszy, snuje dalej nasz polski Lwów złotą nić swej historii.

W dwadzieścia kilka lat zaledwie po wspomnianem wyżej oblężeniu, znowu przypadło mu w udziale odpierać ataki przemożnego nieprzyjaciela: hord tatarskich.

Nowe pokolenie godnem okazało się swych ojców i do złotych kart dziejów miasta, tak często krwią podkreślanych, nową kartę dodało.

Oto król Jan Sobieski, na sejmie koronacyjnym w roku 1676, potwierdzając dawne przywileje miasta i dodając do nich nowy, tak się w nim wypowiada:

„Mając wzgląd, że między wszystkiemi miastami królestwa, najliczniejszemi zasługami względem Rzeczypospolitej, względem poprzednich królów i względem nas, niewzruszoną w mnogich niebezpieczeństwach wiernością wyróżnia się nasze miasto Lwów, który w tylu nieprzyjacielskich oblężeniach przez Kozaków, Moskwę, Tatarów, a teraz świeżo przez Turków podupadł, lecz nie uległ; z tych to chwil tak krytycznych wyszedł zwycięzko, wstrzymał z podziwienia godnem męstwem i odwagą potęgę otomańską i nie dopuścił, aby ona wdarła się do wnętrza królestwa;

Mieszczanstwo zaś lwowskie oświecone, pełne cnót obywatelskich i form wykwinnych, słynie daleko po za granicami Polski nie tylko chwałą wojenną, lecz także cywilizacyjną; miasto przeto swem wykształceniem, męstwem, trwałą wiernością względem Rzeczypospolitej, zasłużyło na wiekopomną sławę i szczególniejszą łaskę“...

Lecz mimo tego męstwa i wierności, których aż do ostatnich czasów niepodległości miasto nasze dochowało, przyszła na nie niedługo względnie potem, straszna chwila... rozstania z ojczyzną...

Dnia 19. września 1772 wkroczyły doń wojska austriackie, a dnia 1. października otrzymała Rada miasta wezwanie od generała Hadika, aby uczestniczyła w instalacji pierwszego gubernatora kraju, hr. Pergena.

Lecz trudno było pogodzić się dumnemu, a tak na wskrós polskiemu miastu z myślą o obcem poddaństwie, przeto „wszystkie stany i narody“ miasta oświadczyły na wspólnem zebraniu, że czyn ten sprzeciwiałby się przysiędze wierności, złożonej królowi

Stanisławowi Augustowi, i uchwaliły wystanie deputacyi z memoryałem, aby miasto zostało od tej demonstracyi zwolnione.

Lecz generał hr. Hadik odmówił tej prośbie i pod zagrożeniem najsurowszych kar, musiało nieszczęśliwe miasto asystować...

Lecz jeszcze raz zerwało się do protestu, a to, gdy mu kazano złożyć nową przysięgę wierności... lecz już cesarzowej Maryi Teresie...

Trudno bez wzruszenia czytać ten rzewny głos, a zarazem tak pełny godności, niby prośby, a właściwie protestu, jaki wierne, wierniejsze od innych stanów, a najwierniejsze w całej Polsce miasto, wznosi do gubernatora hr. Pergena:

„Stany miasta, po dojrzałej rozwadze nad tym punktem, rozmówiwszy się, a zważając, iż takowe juramentów podanie osób do jurysdykcji należących imieniem nowego panowania, jest przeciwko pierwszej Najjaśniejszemu królowi polskiemu wykonanej przysiędze i obowiązkom sumienia, jednogłośnie uchwaliły podać na piśmie do JWP. Ministra notę, aby do wykonania takowej przysięgi, z przyczyn pewnych nie przymuszał i też notę podać się mającą w aktach złożyć, zostawiając pamiątkę potomności, względem dochowania wiary swemu monarsze królowi polskiemu“.

Memoryału tego hr. Pergen nie przyjął „z tym dokładem — jak o tem wyrażają się akta miejskie — że formy przysięg wszystkich osób sądowych podane koniecznie być muszą, odgrażając nie tylko złożeniem urzędów, ale innymi karami“.

Musiało więc ustąpić wierne miasto, lecz tylko pod przymusem i tylko z pozoru.

W duszy swej i sercu zawsze pozostało wierne „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej“, a wierności tej wyraz dało na wszystkich polach narodowego życia, a nie brakło ich także... na polach śmierci! Skrzypiały więc szubienice na „Górze stracenia“, głuchem echem palb karabinowych rozlegały się podwórza więzień, a w kazamatach, niedawno zniesionych, wędły najszlachetniejsze kwiaty narodu...

Czyż mam ich wyliczać?

Wszak wszyscy je znamy, my Lwowskie Dzieci!

I dopiero na tem podłożu zrozumieć można ten ruch żywiołowy, który wbrew obliczeniom skrytobójczej Austrii, wbrew rozumowym pewnikom osiwiatych w polityce mężów stanu i wbrew oczekiwaniom napasnika, popchnął starych i młodych, kobiety i dzieci do walki zażartej, z gołemi rękami, przeciw karabinom i działom, jednego przeciw dziesiątkom!

Dopiero teraz zrozumieć można, dlaczego nasze miasto, tak bohatersko krwawiło się przez trzy tygodnie krwią swych najlepszych dzieci i zносиło wszystkie udręki, na jakie tylko groza wojny miastowej i zdziczenie wroga zdobyć się mogły.

I dopiero teraz zrozumieć można, dlaczego w tej walce strasznej, ani chwili nie ugięto się i na każdym kroku zaznaczało swą polskość i wierność Ojczyźnie.

Nie wszystkim znane były te świetne karty przeszłości, które wyżej przytoczyłem, we wszystkich jednak żył ten sam duch, który ręką historii je kreślił!

On to kazał naszemu miastu zerwać się znowu do boju z wrogiem, a po wyparciu jego, leść mu na drodze w dalszym pochodzie i bronić nie tylko siebie, lecz i Polski całej i krajów zachodu, przed zalewem nowych hord wschodu... lecz gorszych i groźniejszych od tamtych...

NA ODCINKU „KADECKA SZKOŁA“



uż prawie dobę trwamy na placówkach.

Placówki nasze należą do Odcinka I. i obejmują cmentarz stryjski, plac powystawowy, park Kilińskiego i rogatkę stryjską. Ogólnie nazywa się tą przestrzeń, odcinkiem „Kadeckiej szkoły“.

Mój okop jest na cmentarzu, pod krzyżem, na kurhanie, wzniesionym na zwłokach 96-ciu Rosyan.

Tak przynajmniej wnosić można z lapidarnego napisu, wyrytego na krzyżu „96 Russen“.

Stanowisko to znakomite. Wznosząc się ponad otaczającym terenem, jest najidealniejszym punktem obserwacyjnym, jaki tylko wymarzyć sobie można.

Idące naprzeciw obiekty, zajęte przez Ukraińców, a zwłaszcza cegielnię i dalej za nią wznoszącą się cytadelę, widzi się jak na dłoni.

Skryte podejście z tej strony jest niemożliwe, gdyż tuż przed kurhanem, wznoszącym się na skraju cmentarza, teren raptownie opada, przechodzi w jar niezalesiony i dopiero przed cegielnią tworzy sfalowania, mogące użyczyć schronienia podsuwającemu się wrogowi.

W jednym punkcie tylko, na lewo, położenie jest mniej dogodne, miejsce to jednak stoi pod obserwacją sąsiedniego okopu, więc niedogodność ta nie ma znaczenia.

Z temi dodatnimi stronami, łączą się jednak i ujemne. Okop ten, wznosząc się ponad otaczającym terenem, jest tem samem dla przeciwnej strony doskonale widoczny, a dzięki temu, przedmiotem ustawicznego ostrzeliwania.

Nadto jest on dosyć płytki i pozwala tylko na leżącą pozycję. Co zaś znaczy przez kilkanaście godzin bez ostanku leżeć na przepojonej zimną wilgocią ziemi, a do tego bez osłony przed listopadowym wiatrem, to trudno opisać.

Po pewnym czasie „grobowe zimno“ — tym razem dosłownie — przesączywszy się przez ubranie, obejmuje swymi kleszczami ciało, a nacisk tegoż na ziemię, zaczyna tamować prawidłowy obieg krwi.

Najpierw nogi kostnieją i tracą czucie. Uczuwa się w nich „sodową wodę“, jak się dowcipnie, ale zarazem i trafnie wyraził mój młody, 14-letni towarzysz broni.

Potem zimno ogarnia brzuch, na ostatku zaś piersi, a po grzbiecie zaczynają łązić mrówki. Radzi sobie człowiek jak może. Od czasu do czasu więc, wycina nogami powietrzne piruety, to znowu dźwiga na rękach tułów w górę, to wreszcie przewala się chwilowo na bok. Niewielka z tego pociecha, ale zawsze taka chwilowa zmiana położenia, przynosi pewną ulgę. A kule tymczasem gwiżdżą bez ustanku.

Jakaż różnorodność w ich dźwiękach!

Ta syknie koło ucha głosem rozwścieczonej żmiji, a tak nagle, niespodzianie, że człowiek odruchowo n. b. po niewczasie, uchyla głowę.

Druga znowu — zdala lecąca, więc już osłabiona — przeciągłym i żałośnym jękiem, jakby skarży się, że jej zabijać każą.

Wtem dają się słyszeć krótkie, suche uderzenia, jakby „kijem po parkanie“ — wedle

określenia wspomnianego wyżej mego towarzysza — a równocześnie ostry, donośny gwizd.

To kule karabinów maszynowych.

Najprzykrzejszym jednak, wprost wstrętnym, jest głos ekrazytówek. Przerażliwie dźwięczny gwizd, jakby odgłos stłuczonego szkła i zerwanych strun.

Zaiste, w głosie tym wyraża się doskonale cała podłość tego niehumanitarnego środka walki, którym nasi przeciwnicy tak obficie szafują.

Na długo przed świtem zajęliśmy nasze stanowiska. Drzemiących na podłodze i sieniach w szkole kadeckiej, zbudził nas okrzyk: „drugi pluton zbiórka!”

W słabo rozjaśnianej ogarkiem świecy dużej izbie, wszczął się gorączkowy ruch.

Zewsząd poczęły powstawać postacie, rozlegał się szcęk broni, urywane rozmowy, gdzieś głośniejszy okrzyk, czasem śmiech rozbrzmiał lub dosadne przekleństwo i wkrótce stał już pluton gotowy do wymarszu.

Bo na robienie garderoby, niewiele trzeba było czasu.

Kładliśmy się w ubraniu i przez przeciąg trzech tygodni, wątpię, czy 10-ta część z nas choćby raz jeden rozbierała się.

Na to nie było czasu.

Po kilkunastogodzinnej, a nieraz i dłuższej służbie, wracało się tak zmęczonym, tak wyczerpanym, że człowiek rad był zaraz, choćby na gołej ziemi wyciągnąć się. Gdzie mu tam w głowie było rozbierać się. Zresztą i nie można było.

Z powodu szczupłej obsady naszego odcinka, jak wogóle i wszędzie, pluton, który zeszedł ze służby, przechodził równocześnie w stan pogotowia i nieraz zdarzało się, że niebawem po powrocie, ledwie położyliśmy się, zrywał nas na nogi alarm i trzeba było ruszać natychmiast z powrotem na pozycję, na krwawy, wielogodzinny nieraz bój. W takich warunkach, zerwać trzeba było nie tylko z przyzwyczajeniami życia codziennego, lecz i najprymitywniejszymi potrzebami kultury i higieny.

Zmiana bielizny, a nawet mycie się, odbywały się rzadko i dorywczo. Poprostu nie było kiedy, w co i czem.

Przemokłe odzienie i obuwie własnem ciepłem się suszyło, a deszcz zmywał brud.

Ciężką była służba nasza, lecz nikt jej jako ciężaru nie odczuwał.

Słabsze duchowo jednostki wkrótce poznikały i nikt ich nie zatrzymywał ani żałował.

To, co zostało jednak, to krzemienne duchy, z których w walce krzesane iskry, snopem światła po całej Polsce rozbiły się!

Stoi dwurząd plutonu gotów do wymarszu.

Cóż to za zbieranina!

Nawet w czasach tej wojny, która niby to minęła, lecz echa jej jeszcze donośnym głosem rozbrzmiewają, tej wojny, która zdawało się, ostatnie siły narodów wywlokła do szeregów i największych chuchraków pasowała na rycerzy, widok to niezwykle.

Stoi profesor uniwersytetu obok studencika z srebrnymi jeszcze paskami na kołnierzu, siwizną przyprószonego radca obok terminatora szewskiego, legionista, który jak salamandra już cztery lata praży się w ogniu, obok szczupłej i delikatnej dziewczyny. Cały naród, wszystkie stany i wiek ma tu swoich reprezentantów.

Duch feldwebelowski, ten duch przekłętej pamięci militarysty germańskiego, który tyle lat zatruwał życie całego świata, z indygnacją odwróciłby się od tego zastępu.

Począwszy bowiem od ubrania, a skończywszy na zachowaniu się, wszystko kłóci się z uświęconymi tradycją regułami. A przecież zastęp to tak jednolity, jak kawał stali i jak on odporny.

Wie o tem nasz komendant i nie rażą go te uchybienia, które w regularnem wojsku byłyby herezyą, a na które on spogląda z życzliwą wyrozumiałością, nieraz z dobrym uśmiechem na ustach.



WYPAD Z KADECKIEJ SZKOŁY

Wie on dobrze, że tę niesforą — wedle zasad wychowania wojskowego — czeredę, może wszędzie, gdzie trzeba, posłać i na niej polegać.

Wytrwa ona na placówkach i pójdzie do ataku tak długo, aż jej rozkaz, lub... śmierć nie złuzuje.

...Mijają długie godziny wśród zimna, głodu i wyczerpania. Świt rozjaśnia mroki nocy, dzień biały zalewa przestworza, huk armat, min i karabinów to wzmacnia się, to słabnie.

Na niebie przewalają się chmury. Czasem promień słońca je rozedrze i ciepłem ożywcze spłynie na zdętwiałe ciała, to znowu deszcz lub śnieg do szpiku kości je zmrozi i sine piętna wybije na twarzach.

I znów dzień się kończy, mrok zaciera kształty, a noc cichym, kocim krokiem się skrada.

Ciemnym płaszczem świat zatula, oczom władzę odbiera, a zmysły budzi do rojeń... Więc ukazuje im miraż ciszy i spokoju... szczęścia domowego... Wnętrze pokoju blaskiem światła rozjaśnione, a w nim najbliższych... najdroższych...

Więc matka... ta istota anielska, której wielkość i dobroć wtedy najlepiej się pojmuje, gdy twardy los chłosty nie szczędzi, dobrą swą dłońią pieści i tuli...

A ojciec, choć czasem surowy i nagany nie szczędzi, to przecież taki dobry, kochany, nieraz tak do serca przemówi i skryte myśli i zachcenia odgadnie...

A i rodzeństwo, z którym tyle jasnych, wesołych chwil się spędziło, dzieląc i posiłek codzienny i pieszczoty rodziców...

Jak tam miło, dobrze i ciepło...

Wnet wniosą na stół ciepłą strawę, jeszcze chwila rozmowy, śmiechu i zabawy, a potem spoczynek w ciepłym łóżku, z pocałunkiem matki na czole i jej dobrym słowem na dobranoc:

„Śpij moje dziecko“...

Odrywa się umysł dziecka-żołnierza od spraw chwili obecnej i tonąć zaczyna w tych cudnych zjawach fantazyi...

A noc swym ciemnym płaszczem coraz szczelniej go otula, aksamitną swą dłońią zsuwa powieki na zmęczone oczy i szepce:

„Przymknij oczy... lepiej zobaczysz... choć na chwilę, na krótką chwilę“...

Wtem... Nie wolno! zawoła w duszy dziecka-żołnierza...

Twardy głos obowiązku, głuszy syreni głos nocy i pierzchają złudy fantazyi!

„Jam żołnierz polski, a na mnie polega los mych towarzyszy, los grodu polskiego!“

I otrząsa się drobne ciało z sennego bezwładu, pręży muskuł ramienia ściskając broń w pogotowiu, a zwrok ostrzy się natężeniem i przebija ciemność nocy... Słuch przestaje być sługą podszeptów urojeń i wpija się w ciemną dal, łowiąc jej szmery i głosy.

I żołnierz-dziecko czuwa...

Zaiste z chlubą i dumą powiedzieć możemy, że nie było wypadku, aby placówki nasze dały się zająć niespodzianie.

Mimo długiej, nieraz zwyż dobę trwającej służby, wśród najgorszych warunków, zimna, deszczu i śniegu, trwały one na stanowisku cierpliwie i czujnie, zawsze gotowe do oporu i ataku.

Nieraz głód kiszki skręcał, gdyż nie zawsze, n. p. w czasie bombardowania, można było dowieźć jedzenie; pragnienie na wiór wysuszało gardła i z zimna ciało już czucie traciło, a placówka wciąż trwała karnie i czujnie.

I ilekroć nocą lub nad ranem przed świtem, próbował wróg nieśpostrzeżenie przybliżyć się i niespodzianie napaść, zawsze spotkał się zawczasu z odporem zajadłym, nieugiętym, a w rezultacie zwyciężkim.

Pogotowie nasze, zawsze miało czas się zebrać i tam wkroczyć, gdzie potrzeba tego wymagała.

Nigdy nie wybuchł popłoch, ba, nawet gorączki ruchów widać nie było!

Gromki okrzyk „alarm!” i w mig stał już dwurząd plutonu.

Nasz dzielny komendant odcinka, zawsze z tą samą spokojną twarzą i równym, spokojnym głosem dawał dyspozycje, potem krótka komenda i szedł pluton cicho, sprawnie i spokojnie, gdzie go rozkaz przeznaczył. I zawsze przyszedł na czas, gdyż placówki wroga nie puściły.

Z takim żołnierzem, na wszystko ważyć się było można. I w odstępach kilkudziesięciu kroków obsadzać długie linie pierwszego, a zarazem nieraz ostatniego odporu i małą garstką atakować liczne zastępy i zdobywać maszynowe karabiny i armaty i w kilkunastu ludzi zapuszczać się milami w teren zajęty przez wroga, karać winnych rozboju, niszczyć ważne urządzenia wojskowe i wracać ze zdobyczą.

Dniem krytycznym dla Kadeckiej szkoły był dzień 17. listopada.

Od kilku dni upodobał ją sobie nieprzyjaciół szczególnie i zasypywał szrapnelami, granatami i minami.

Wkrótce jedna szyba, jedno okno nie pozostało całe. Z górnych pięter musieliśmy zejść na parter, a z parteru do suteryn.

„Nie wytrzymacie“, powiada do mnie były komendant szkoły, podpułkownik austriacki, który pozostał w niej, zaskoczony wypadkami.

„Zobaczymy“, odpowiadam mu.

„Wy dzielne wojsko“, mówi do mnie dalej łamaną polszczyzną, „ale was i za mało i zmęczeni jesteście, a oni was zasypią z armat“.

„Niech się pan o nas nie boi, jakoś to będzie“ — odpowiadam.

Nad ranem o 4:30 dnia 17. listopada, rozpoczęła się znowu kanonada.

Pierwszym pociskiem była mina, która upadłszy w środek kompleksu budynków wchodzących w skład Kadeckiej szkoły, zatrzęsła nimi od posad.

Resztki szyb z brzękiem wyleciały, za nimi gdzieś poszły ramy okien, a tuman białego kurzu wzniosł się dokoła.

I odtąd w odstępach co kilka sekund, padały pociski za pociskami.

Pełen był ich cmentarz i park Kilińskiego i szkoła.

Walily się drzewa, łamały gałęzie, ziemia czarnymi słupami wzbijała się w górę.

Tu okop na cmentarzu rozniósł szrapnel, tam mina zwała duży szmat muru okalającego szkołę, to znowu runął narożnik budynku.

Lecz nie koniec na tem.

Coraz gęściej i donośniej poczęła odzywać się salwa karabinów i z trzech stron naraz odezwał się ten suchy, straszny terkot karabinów maszynowych.

„Atak generalny na Kadecką szkołę“, biegnie z ust do ust.

A wkrótce widać i skutki jego.

Wśród padających pocisków, zwałów drzew strzaskanych, wśród kurzu ziemi i białych obłoków ze zwałonych murów, poczynają gorączkowo przewijać się postacie z opaskami czerwonego krzyża i noszami w rękach.

Dzielni sanitariusze i sanitariuszki nie zważają na pociski, na niebezpieczeństwo. Nie czekają, aż się w którymś miejscu walka uspokoi. Na pierwszą zaraz wiadomość spieszą na miejsce i wśród gradu kul, nieustraszenie i ofiarnie znoszą żniwo tej strasznej, bratobójczej walki! A żniwo obfite! Trudno mu nadążyć...

Piekiło robi się coraz gorętsze. Już trzy godziny bez przerwy trwa kanonada.

Pierwotne pozycje stały się nie do utrzymania. Trafne, niemiecką ręką kierowane pociski, czynią niemożliwym dalsze pozostawanie w okopach.

Cofa się więc wiara... Krok za krokiem, wśród zajadłej walki, lecz... cofa się...

Już opuściła roгатkę stryjską, już i cmentarza duży szmat pusty, a wnet i od strony parku stanie pod bramami szkoły.

A wtedy?...

Dwie alternatywy!

Poddać się, lub zamknąć w budynku i dać się roznieść armatom i minom...

Nie!

Jest jeszcze trzecia!

Ta trzecia, tradycją Wojsku Polskiemu przekazana!

Ta trzecia, która pola Kirchholmu i Raclawic, wąż Samosierry i Olszynki las, złotymi głoskami na kartach jego bojów zapisała!

Kontratak!

Na atak, atakiem odpowiedzieć! Zdławić jego siłę, powstrzymać rozpęd, oszołomić wroga nagłem, niespodzianem uderzeniem, wyrwać mu z rąk inicjatywę walki, osłabić ducha i... zwyciężyć!

Zadanie nielada! i nie każdy żołnierz nadaje się do tego!

Trzeba stali ducha, któraby się zwycięzko oparła demoralizującemu wpływowi piekielnego ognia, trzeba ofiarności życia, która gotowa złożyć je w dani dla Sprawy, trzeba wreszcie karności, któraby szczupły zastęp żołnierza urobiła w jednolity posisk, którym wódz w stosownej chwili i miejscu rzuci na wroga!

Lecz komendant nasz dobrze wiedział, że z swoim oddziałem, może się na to ważyć!

Krótką dyspozycją, komenda i ciała odrywają się od ziemi.

Naprzód!

I pędzą bez osłony, byle prędzej, byle dalej!

Naprzód!

Już dosięgnęli swoich opuszczonych okopów!

Naprzód!

Już wpadli w okopy wroga, który ich nawet bronić nie próbuje!

Naprzód!

Już cały cmentarz, roгатka i park Kilińskiego odebrany!

Naprzód!

Wysypuje się wiara z bram parku i placu powystawowego, dudnią kroki po bruku ulicy Stryjskiej, Pułaskiego i Poniatowskiego!

Naprzód!

Już plac św. Zofii zajęty i pierwszy maszynowy karabin zdobyty!

Pierzcha wróg wszędzie, milknie palba i zgiełk walki ustaje...

Z początku pojedynczo, potem gromadkami poddają się jeńcy.

Wszędzie widać porzuconą broń i amunicję, ba, czapki nawet i płaszcze.

Zwycięstwo na całej linii!

Nie tylko własne pozycje odbite, ale zajęta przestrzeń hen pod górę św. Jacka i szkołę przemysłową.

Trochę więcej sił, a możnaby i tamte zdobyć i w ten sposób zbliżyć się do samego serca miasta, a kto wie, czy i o cytadelę nie możnaby się pokusić!

Bo faktem jest, że ów kontratak, taki paniczny popłoch wzbudził u nieprzyjaciela, że nie tylko nie pokusił się on o odbicie straconych pozycji, lecz nawet opuścił dalsze i dozwolił, że do zmroku pozostaliśmy nie niepokojeni na najbardziej wysuniętych posterunkach, niedaleko szkoły przemysłowej i u wylotu ulicy Stryjskiej.

Jeden oddział zaszedł nawet na tyły nieprzyjaciela, koło koszar Jabłonowskich i wrócił bez szwanku!

Niestety, dla szczupłości sił, nie mogliśmy pozostać i musieliśmy powrócić na dawne pozycje.

A wiecie, jakie siły wykonały ten kontratak?

Niespełna 30 ludzi!

Wszak obrona całego odcinka, od cmentarza po rogatkę, z 80 ludzi zaledwie się składała!

Dzień ten krwawe przyniósł nam straty: blisko 30 w zabitych i rannych, a między nimi przy końcu już walki, nieodżałowanej pamięci dowódzca II. plutonu, ś. p. Aleksander Głogowski.

Część zostać musiała jako obsada pozycji, więc tylko w sile jednego zaledwie plutonu można było wykonać kontratak na cztery kompanie, z kilkoma maszynowymi karabinami!...

Nieprawdopodobne, a przecież prawdziwe. Trzy maszynowe karabiny, kilka min, których dotychczas tak brak nam było, setki karabinów, 50 jeńców, oto zdobycz z tego dnia!

Ražno i gwarno wracała wiara do szkoły.

Mimo zmęczenia całodziennej walki, a u wielu i całonocnej służby, brylantowy humor zapanował.

Sypały się żarty i dowcipy jak z rogu obfitości, a ponad wszystkim, górowało uczucie dobrze spełnionego obowiązku i przeświadczenie o własnej sile!

Nie damy Lwowa! Raz po raz wyrывało się z ust! Nie trzeba nam pomocy, sami damy radę!

I nie przechwałki to były, wywołane podnieceniem zwycięstwa, lecz prawdziwe przeświadczenie o własnej sile, które i naczelne dowództwo dzieliło.

Wszak wobec niepowodzenia pomocy z Lublina i opóźniania się posiłków z zachodu, na seryo rozważało plan samoistnej ofensywy i podobno zamiar ten istotnie powzięło!

Czy plan ten powiodłby się, trudno na to odpowiedzieć stanowczo, że jednak z naszym żołnierzem można było nań się odważyć, to wątpliwości nie ulega!

Z naszym żołnierzem...

I któż był ten żołnierz?

Przeważnie młodzież szkolna i robotnicza... Pamiętam, gdym przedarłszy się przez cytadelę dnia 4. listopada, zgłosił się po broń w Domu techników przy ul. Isakowicza, oczom wierzyć nie chciałem, gdy ujrzałem sformowane oddziały.

Stoi kilkunastu wyrostków w jednym szeregu, a przed nimi oficer z karabinem w ręku.

„Kto z was służył wojskowo?” — pyta.

Zaledwie jeden lub dwóch starszych zgłasza się.

„Widzicie, to jest karabin. Tak się go otwiera, tak się nabija, a potem zamyka. To jest bezpiecznik, to celownik, to muszka i t. d.”

Następuje pouczenie, jak się celuje, strzela i wypróżnia wystrzelony nabój.

Potem każdy próbuje, początkowo nieskładnie, z pomyłkami, wkrótce jednak coraz lepiej i pewniej.

Następuje jeszcze krótki wykład o placówkach i patrolach i w godzinę lub dwie, teoretyczne wykształcenie skończone.

„Obywatelu X., obejmiecie komendę nad tą sekcją i udacie się z nią na odcinek „Kadecka szkoła”.

Przedtem jeszcze do magazynu po amunicję, do kuchni na posiłek i oddział maszeruje na pozycję.

O godzinie 3. popoł. zgłosiłem się, o 6. już wyruszyliśmy, a wkrótce potem byliśmy już w ogniu, który trwał do 12. godziny w południe. W ciągłych walkach uzupełniało się wykształcenie wojenne i w krótkim czasie, z delikatnego studenta, zrodził się żołnierz z krwi

i kości, który nieustraszenie trwał wśród gradu kul, bez szemrania znosił wszelkie niewygody i niedostatki i karnie, bez wahania, szedł w bój, nieraz na śmierć pewną...

I tylko twarze coraz bardziej bladły, policzki się zapadały, a oczy traciły ten naiwny, właściwy dorastającemu wiekowi znak zapytania.

Starzały się widocznie.

I nie dziwota! W zaraniu życia, danem im było widzieć i grozę i mękę i śmierć!

Gdy patrzał na te wątle na oko postacie, mimowoli odżywało w pamięci to cudne określenie naszego Proroka narodowego, zastosowane przed stu laty właśnie, także do walczącej „za Sprawę“ młodzieży:

„Zczerniał, zeszpetniał...

Ale dziwnie jakoś wyszlachetniał“...

Młodzieży kochana! Towarzysze broni!

Że my starsi pospieszyliśmy za głosem obowiązku, to nie dziwota!

Życie nasze od lat już wielu idzie jego torem, więc tak być powinno było!

Najlepsza część życia, kwiat wrażeń i uczuć za nami już pozostała, przed nami zaś szlak jesieni się ścieli, a w oddali krzyż cmentarny już się rysuje...

„Miło i chwalebnie za Ojczyznę zginąć“.

Czyż może być piękniejsze zakończenie życia?

Lecz że Ty Młodzieży „Sen na kwiatach, sen swój złoty“ na wczesne czuwanie, na ziemi twardej, wśród dźwięku stali i poświstu kul zamieniłaś, za to Cześć Ci!

Dla ciebie ten obowiązek nie zaistniał jeszcze... Tyś go sama sobie stworzyła!

Więc za ten wczesny „kwiat uczuć“, za tę krwi purpurę, którą zmartwychwstałą Ojczyznę świeżo ozdobiłaś, za Twój trud, bojowy i... za zwycięstwo...

Cześć Ci Młodzieży!

Wśród walk i bólów powstaje do nowego życia nasza Ojczyzna...

Huragany przeciwności wstrząsają nią od posad, a na zewnątrz i wewnątrz czyhają wrogowie, by odwalony kamień grobowy znów na nią zwalić!

Pożary i zgliszcza szerzą się coraz bardziej, a krwi struga coraz szersza, coraz głębsza...

Zgrzytem szatańskim rozbrzmiewa waśń narodowa, a jedność rozpęka pod partyjnym młotem! I w tej chwili udręki i zwątpienia nieraz, myśl moja do Ciebie ulata Młodzieży!

Widziałem Cię w chwili trudu i walki...

Przy studencie stał rzemieślnik, o ramię robotnika książkę się ocierał...

Lecz jeden szereg Was łączył, jedno hasło w Was było:

„Nie damy ziemi skąd nasz ród!“

I lżej mi na sercu się robi, znika ból i zwątpienie, a z wiary i przekonania rodzi się głos wewnętrzny, który ból koi i rozprósza obawę...

Nie!

Wy nie dacie ziemi skąd Wasz ród!

Listopad 1918.

FRANEK, LEGUN I KURIERKI



opiero teraz odzywają mi w pamięci niedawne czasy „Obrony Lwowa“.

Ciągła walka wśród trudów i różnych niedostatków, tudzież natłok szybko po sobie następujących zdarzeń, nie pozwalały odbieranym wrażeniom rozwinąć się i uplastyczyć.

Karbowwały się więc tylko w pamięci, aby później, w dogodnej chwili, odżyć i właściwym swym blaskiem zajaśnieć.

.....
W jednym z owych dni pamiętnych, rozmawiałem z pewnym podporucznikiem z naszego odcinka.

W trakcie rozmowy, zjawia się przed nami mała postać dziecięca. Oł, takie sobie zwyczajne, przedmiejskie dziecko, w wieku 10—12 lat. Czapka wojskowa w tył nasunięta by mu na oczy nie spadała, coś, co przypominało buty na nogach, a choć spodnie widocznie wskutek ciągłego skracania miał za krótkie, to brak ten znajdował sówitą rekompensatę w za długich rękawach surduta.

Twarcyzka blada, pociągła, rozjaśniona tylko parą dużych, niebieskich oczu.

Staje i patrzy na nas.

— Czego chcesz? — pyta podporucznik.

— Proszę pana porucznika o karabin.

— A tobie na co karabin?

— Chcę strzelać.

— A obiad jadłeś? — pyta podporucznik, widocznie chcąc się go pozbyć.

— Nie!

— Idźże więc zjeść obiad, potem pomówimy.

Chłopak znika, my zaś rozmawiamy dalej.

Nie upłynęło jeszcze może dziesięć minut, gdy zjawia się ponownie.

— Proszę pana porucznika, już zjadłem obiad!

Wielkie miałem podejrzenie, że tym razem skłamał, gdyż na sam chód czasu nie starczyłoby, a na obiad starsi niż on, nieraz i godzinę czekać musieli.

— Więc czego chcesz jeszcze?

— Proszę o karabin!

— Teraz niema żadnego wolnego, zgłoś się później!

Chłopczyna postać chwilę. Widziałem, jak na jego twarzy odbił się gorzki zawód.

— Nie można przecież takiemu dziecku dawać broni do ręki. Ani się z nią nie potrafi należycie obchodzić, ani też nie ma pojęcia dokładnego, na co się porywa i naraża — mówię do mnie podporucznik, gdy chłopak odszedł. Przytakiwałem mu chętnie.

W kilka dni później, znaleźliśmy się na placówkach na stryjskim cmentarzu.

Zimno mi było i gorąco.

Zimno, gdyż wiatr listopadowy do szpiku kości mnie przenikał, prócz zaś jesiennego palta na lekkim ubraniu, nie miałem zresztą żadnego więcej okrycia.

A tu już tyle godzin minęło w nieruchomem położeniu za okopem... W domu pozostała wprawdzie i ciepła kurtka i sweter porządny, ale wziąć ich z sobą nie mogłem, gdyż,

przedzierając się „z tamtej strony“, musiałem wszystkiego unikać, co mogłoby wzbudzić podejrzenie.

Gorąco... bo strzelanina zdrowa...

Armaty i karabiny nieprzerwanym grzechotem i hukiem przerywały powietrze, a wybuch pocisków armatnich i uderzenia kul w bezpośredniej bliskości, dosadnie mówiły o powadze sytuacji.

Wtem usłyszałem za sobą szelest...

Obracam się... i kogo widzę?...

Owego chłopczynę, Franka, z którym miałem już sposobność zaznajomić się niedawno. Idzie sobie „z partesem“ jakby na przechadzkę i coś dźwiga, a raczej ciągnie za sobą. To karabin rosyjski, do tego z bagnetem.

— Franek! wołam: kładź się na ziemię! nie słyszysz, że kule gwizdzą?

Usłuchał mnie, padł i na brzuchu przyczołgał się bliżej.

Patrzę ciekawie, co dalej pocznie.

Przyciągnął do siebie karabin, złożył się do strzału i mierzy...

Ale widocznie się spostrzegł, że niema dobrego przestrzału, więc opierając się na łokciach, podsunął się bliżej i znów do strzału się złożył.

Jeszcze niedobrze, znowu się czołga, zmienia położenie... jeszcze źle...

Wtem — widzę — z determinacją wstaje, podchodzi pod parkan cmentarza, opiera karabin o poprzeczkę, rozstawia nogi szeroko (hultaj, widocznie już nieraz strzelał) i mierzy...

Nim wystrzelił jednak, zwrócił się do mnie, spojrzał dwojgiem dużych, niebieskich oczu i mówi:

— Ojca mi zabili...

To jakby na usprawiedliwienie swego czynu i jakby prośba, bym mu nie przeszkadzał...

I cóż miałem zrobić?

Zachowywał się jak prawy żołnierz, który wie i czuje, że wtedy tylko strzelać powinien, gdy widzi cel przed sobą.

A czy wiedział, na co się porywa i naraża?

Hej! wiedział ci Franek napewno o tem, wiedział aż nadto dobrze!

W czasie swego pobytu „na Kadeckiej“ napatrzył się i na rany i na śmierć...

I niedziwne mu były skargi bólu i jęk śmierci ostatni...

Nieraz był na naszym cmentarzyku, gdzie pod drewnianymi krzyżami, wieńcami z białych wiór i czerwonych kwiatów ozdobionymi, spoczywają nasi koledzy... I o uszy jego nieraz odbił się śpiew pożegnania...

„Śpij kolego w ciemnym grobie...

„Niech się Polska przyśni Tobie“...

A w tej atmosferze poświęcenia i zapału, wcześniej dojrzał pojęciem, niż w najlepszej szkole.

Żużel przedmiejskich narowów pod ich ogniem stopił się i w proch się rozsypał, a z pod niego rozbłysła szczerozłota duszyczka polskiego dziecięcia...

— Powiecie: zmyśla, daje się fantazyi unosić!

Lecz powiedzcie wprzód, co kazało temu dziecięciu trwać aż do końca na „Kadeckiej górze“, wśród niewygód i nieraz niedostatku, a do tego narażać się na rany i śmierć?

Czyż w obecnych warunkach, trudnoby mu było o suty zarobek?

Gdyby najął się n. p. do noszenia rzeczy lub... może w mniej godziwy sposób?...

Kule naokół gwizdały, raz wraz pękał pocisk armatni, a Franek stał koło parkanu i strzelał...



— Ojca mi zabili...

Gdy tak patrząc na niego, biłem się z myślami, co począć, nagle znów szmer mnie zaleciał gdzieś zbliżka.

Widzę, chyłkiem pomyka ku mnie kolega „Legun“. Stary wyga wojak, choć wąż ledwie mu zasiał się pod nosem. Od pierwszych dni wojny do niedawna, służył w Legionach. Znają go i Karpaty i Bessarabia. Brał udział w strasznej bitwie pod Kostiuchnowką, gdzie nasz 5-ty pułk hekatombę ze swych ciał złożył, ratując zachwiane niemieckie zastępy... Doczekał się w nagrodę rozwiązania Legionów i wcielenia do wojsk austriackich... Był na włoskim froncie, aż wreszcie po rozgromie państw centralnych, znalazł się z powrotem we Lwowie.

Tu na pierwsze hasło walki, stanął do szeregu. Dopadł spiesźnie mego okopu.

— Kolego! przyszły do was Kuryerki i coś tam niosą. Idźcie do nich — są koło wchodu cmentarza — ja was zastąpię.

To mówiąc, już się wychyla z okopu, mierzy i strzela...

Serdeczny chłopiec!

W życiu mojem tysiące miałem kolegów.

Miałem ich na ławie szkolnej i na wszechnicy, miałem ich w urzędzie i w wojsku, lecz lepszego chyba nigdy nie miałem... I tamci zastępywali mnie, jedni chętnie, drudzy mniej chętnie, lecz czyż ich zastępstwo można było z tem porównać? Wszak nie o stratę drogich chwil odpoczynku tu szło i nie o trud fizyczny tylko...

Czyż nie narażał się on zarazem na przyjęcie „w zastępstwie“ kuli dla mnie przeznaczonej?...

Ale nie czas był na refleksye.

Kuryerki! Czy wiecie, co znaczył dla nas ten wyraz?

Odcięci od świata, choć tak blisko, pędziliśmy życie w wiecznym niepokoju o swoich najdroższych. Łaknęliśmy więc wieści, nawzajem też, radziłyśmy ich byli pocieszyć, że żyjemy jeszcze i choć na chwilę rozpędzić czarne ich myśli, napoić otuchą.

A to umożliwiały tylko te kochane i dzielne Kuryerki nasze!

Nie było dnia, żeby któraś z nich nie przedarła się do nas. Nie wstrzymała ich zła pora, nie straszyły kule, nie lękały się nawet patroli nieprzyjacielskich!

Ileż to odwagi, ile zmyślności i wykrętów musiały użyć, aby się przedostać do nas i nie tylko to, ale jeszcze przemycić listy i rzeczy!

Ja miałem szczęście dwie z nich bliżej poznać i cześć, jaką zawsze dla kobiet polskich żywiłem, z ich poznaniem jeszcze bardziej wzrosła.

Dobiegłem miejsca, gdzie na mnie czekały.

— Chwała Bogu, że pan zdrow, a tam się tak boją o pana! Toż się ucieszą, gdy im to powiemy. A przyniosłyśmy coś, co się panu przyda.

To mówiąc, jedna z nich ściąga z siebie mój sweter, a druga ciepłą kurtkę.

Cóż, nie kochane to Polki?

— Bójcie się panie Boga! Jakżeście to przemyciły? Czy nikt was nie zaczepiał, nie rewidował?

— To jeszcze nie koniec! Tu ma pan papierosy, wprawdzie w chusteczce, ale to, aby lepiej ukryć; tu bieliznę ciepłą, a tu od nas cukierki razem z listami. Aha! jest jeszcze fajeczka, o którą pan prosił.

I wyciągają z różnych torb i schowków, które tylko przemyślność kobieca obmyśleć zdolna, te różne przedmioty.

— Ale jak się panie tu dostałyście? Przecież walka w toku i grad kul wszędzie się sypie!?

— Jakoś szczęśliwie nam się udało. Wprawdzie często mierzyłyśmy sobą ziemię, ale żadna z kul nas nie trafiła.

— Gorzej było, że wpadłyśmy na patrol...

— I cóż? Jak to było? Jakiście wywinęły się panie?

— Zdążamy ku ulicy Stryjskiej, gdy wtem wysuwa się patrol i woła: „Stij! Kuda?”

— Wracamy do domu, na Stryjską.

Nawiasem powiedziawszy, mieszkały zupełnie w innej stronie.

Patrol sceptycznie przyjęła to wyjaśnienie.

— A co w tej torbie?

— Proszę przepatrzyć — mówi jedna z nich — i z całą gotowością podaje torbę pełną kontrabandy.

— Nie! Sami pokażcie.

Następuje więc wydobywanie przedmiotów.

— O, bielizna... to pewnie dla waszych tam na górze.

— Rozumie się, że dla naszych, przecież to nie jest zakazane odnosić do domu bieliznę od praczeki.

— Aha, do domu!

— Nie wierzy pan? To proszę się przekonać! Mieszkamy przy ul. Stryjskiej pod 24 Trzeba wiedzieć, że wówczas część tej ulicy była przez nas zajęta, więc owe „przekonywanie się” byłoby dość ryzykowne i na to liczyły chytre Kuryerki.

— A wo! — papierosy! — No! — to wy już napewne idziecie na Kadecką. Trzeba je aresztować — mówi jeden z nich, zwracając się do towarzyszków.

— A trzeba...

— Owszem, proszę nas aresztować, my się nie boimy, bo nie jesteśmy winne!

— A co w tej torbie?

— To mąka; niosę dla moich dzieci. Czy i to zakazane?

Ta mąka zachwiała podejrzeniem patrolu. Bo żeby to był chleb, lub coś innego pożywne, coś w gotowym stanie, no — to co innego. Ale mąki przecież nie nosi się na „Kadecką...”

To zachwianie się, wykorzystwały przemyślnie kobiety i rozpoczęły... ofensywę...

— Prosimy panów, albo nas puścić, albo przekonać się na Stryjskiej, że mówimy prawdę, albo w końcu nas aresztować i zaprowadzić do komendanta.

— Dzieci czekają na nas w domu głodne, od rana nic nie jadły, a panowie nas tu trzymacie. Może który z panów także ma dzieci i wie, co znaczy, gdy są głodne...

Nastąpiła cicha narada; ostatecznie puszczono je wolno dalej, ale z zapowiedzią, że to ostatni raz.

Ostatni raz... Aha!

Po dwu dniach znów były u nas i znowu wniosły w nasze ciężkie i twarde życie promień światła, ciepła i nadziei.

Nic ich nie zdołało odstraszyć.

Nawet w tym krwawym dniu 17. listopada, dniu generalnej ofensywy na „Kadecką szkołę”, która nas tyle ofiar kosztowała, lecz zarazem była dla naszego odcinka dniem chwały i zwycięstwa, jawiły się w czasie najgorętszej walki, zaiste cudem tylko uniknąwszy śmierci.

Oczom wierzyć się nie chciało, gdyśmy je wśród nas ujrzeli. Wśród jakich niebezpieczeństw, jakimi drogami, z jakim sprytem i odwagą przewinęły się, nim wreszcie wpadły do naszych placówek, za długo byłoby opowiadać.

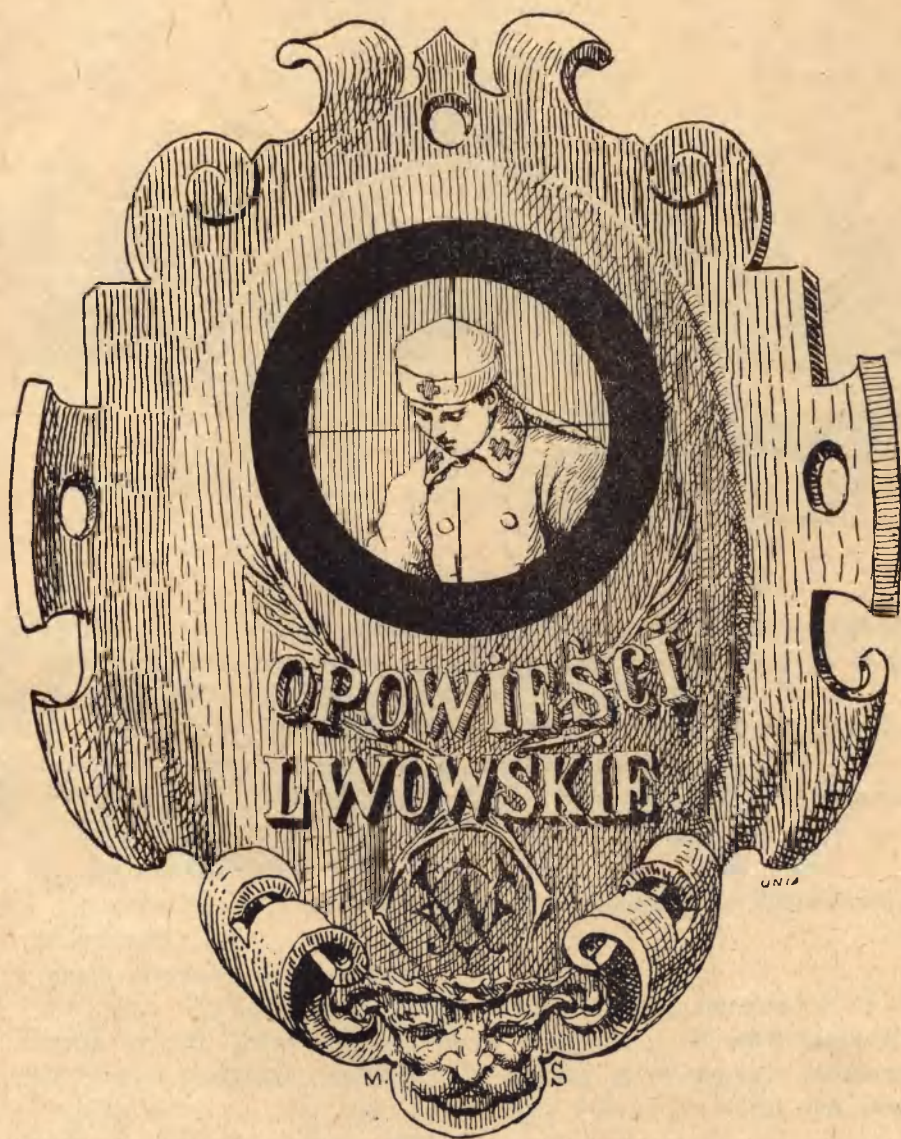
To jedno pewne, że niemniejszą okazały odwagę i poświęcenie od naszych żołnierzy i w całej pełni zasłużyły na krzyż waleczności.

Nie wymieniam ich nazwisk, gdyż mnie o to prosiły. Skromność ich równa zasłudze.

Niech to jednak wspomnienie będzie dla nich podzięką za ich czyn szlachetny i hołdem dla imienia Polek, które tak szczytnie umieją nosić.

Nie zginie nasz Naród, skoro ma takie kobiety, takich żołnierzy i takie dzieci!

Grudzień 1918.





rzestronna sala o dużych oknach, słabo rozjaśniona światłem zimowego słońca, które nadaremnie usiłuje przedrzeć się przez ciężkie chmury i wilgotne opary, którymi odwilż przesyciła powietrze.

Pod białymi ścianami, szeregi żelaznych łóżek w poprzek do nich ustawionych, a przy każdym łóżku żelazny stoliczek.

W środku długi stół drewniany i kilka prostych drewnianych krzeseł.

O! i wszystko.

Wszak wiecie co to za sala?

Któżby z nas Lwowian nie wiedział! Od dwóch miesięcy te białe izby, na ustach wszystkich i... w sercach...

Dzień w dzień procesye do nich dążą.

Starzy i młodzi... Tu spieszy wykwinna dama krokiem nerwowym, z zaciśniętymi ustami, jakby dławiała okrzyk, który się jej z piersi wyrывa... W rękę nieświadomie mnie chusteczkę, a choć tresura światowa mimowiednie trzyma ją w więzach „przyzwoitości“, to jednak wzrok jej więzy te zrywa, gdyż tyle w nim lęku i bólu, że wzrok ten ujrzawszy, zapomina się o „pani“, a widzi się tylko... matkę...

Tu spieszy kobieta przedmiejska i coś szepce z cicha... Modli się może... Im bliżej celu, tem wolniej idzie, aż wreszcie przed schodami staje... Ręką krzyż znaczy na piersiach, szepł w głos przechodzi... „Matko Najświętsza!“... Potem ciężkie westchnienie i wolno wstępuje na schody...

Tu niepewnym, jakby spłoszonym krokiem, biegnie młode dziewczę. Widać, że z lustrem tym razem jakoś nie w zgodzie... Bo i kapelusz „nie tak jak powinien“ i fryzura nie tak „stylowa“ jak zwykle... A najgorzej to te oczy! Ani chochlik w nich nie igra, ani dyabełek nie świeci... Coś zmały i zmęniały...

Zaczerwienione powieki szybko drgają raz po raz... lecz na darmo! Płynie łezka za łezką...

Otworzy się drzwi wchodowe, a w nich postać starca...

Znam go dobrze! Wysoki urzędnik... Salutuję... Nie widzi mnie... a przecież patrzy na mnie!

Ten wzrok wprost straszny! Syn jego... coś słyszałem... ktoś mi mówił... Ach! Teraz wiem już dokładnie... Wzrok jego mi powiedział! Biedny starzec! To już drugi i... ostatni!

Dla obcych podaję:

To nasza Lwowska Golgotha... Szpital Wojsk Polskich „Technika“.

Wstępuję na salę i oddaję pokłon: Cześć Siostram!

Cześć! kilka głosów odpowiada.

To sala żołnierzy-kobiet i sanitaryuszek...

Oznajmiam cel przybycia i czekam. Tymczasem rozglądam się. Ani jednego wolnego łóżka. Jest ich zwyż 20 i wszystkie zajęte. Lecz przecież ta sala jakoś inaczej niż inne wygląda... Na każdym stoliczku pęk kwiatów stoi i one to łagodzą surowość wyglądu sali.

Kwiat i kobieta zawsze znajdują się razem.

— Pamiętam, w pierwszych dniach walki o Lwów, widziałem raz koleżankę-żołnierza, wracającą z patroli... z pękiem jesiennych kwiatów i liści...

Wzrok mój zatrzymuje się na łóżku w kącie stojącym. Na białym tle poduszki odbija się głowa dziewczęca, jak rzeźbiona kamea. Rysy regularne, szlachetne, a tak delikatne, jakieś tak łagodne... Ciemne, kasztanowe włosy, spięte w wolne warkocze, rozsypały się na poduszce i plecach. Twarz blada, oczy zamknięte. — Kto to? — pytam siostry.

— Może pan głośno mówić. Ona nie słyszy. Leży w gorączce. To żołnierz. Ranna przed dwoma dniami w płuca kulą z „maszynki“.

— A czy?... — Gest niepewności był odpowiedzią...

Biedactwo!

Ale czas już rozpocząć czynność.

Przystępuję więc do jednej z rannych, przedstawiam się i pytam:

— Czy siostra zechce mi opowiedzieć, w jaki sposób została ranną?

— Proszę bardzo.

Siadam więc obok łóżka, notatka i ołówek do ręki i słucham:

— Dnia 28. grudnia opatrywałam rannego koło dworku Persenkówka. W miejscu tem nie było już walki, więc też nic mi grozić nie powinno było. Zaledwie jednak pokazałam się na wzgórku, gdzie leżał ranny, poczęli Ukraińcy strzelać. Nie zważając na to, schyliłam się nad rannym i poczęłam go opatrywać. Gdy naraz, dostałam dwa strzały w obie nogi. Usiadłam więc, a że jeszcze nie skończyłam z rannym, więc go dalej opatrywałam. W tem otrzymałam strzał w prawą łopatkę ramienia. Straciłam przytomność i padłam na ziemię. Żeby ze mną się skończyło, gdyby nie zacny rotmistrz Dr. Abraham. Widząc mnie padającą, mimo kul podbiegł do mnie i uniósł mnie.

— Czy Ukraińcy nie wiedzieli, że siostra jest sanitaryuszką?

— Jakże nie? Przecież miałam na sobie i czepek z czerwonym krzyżem i odznakę na ramieniu, a odległość nie przenosiła 200 kroków!

— Może strzelali do naszych żołnierzy?

— Stanowczo nie, gdyż z miejsca tego ani nie strzelano, ani wogóle tam żołnierzy nie było. Linia nasza szła całkiem bokiem.

— A czy zdarzyło się siostrze to pierwszy raz?

— Gdzież tam! Ilekroć szłam opatrywać rannych, tak ja, jak i moje koleżanki, zawsze nas ostrzeliwano. Pod Laszkami Murowanemi np. oba razy, rano i popołudniu, gdy szłam z patrołą sanitarną, ostrzeliwano nas. Cudem nic mi się nie stało wtedy.

— A chorągwi z czerwonym krzyżem nie bierzecie z sobą?

— To jeszcze gorzej — jak przekonaliśmy się — bo wtedy dopiero mają dobry cel. Zarzuciliśmy więc tę pseudo-obronę, zwłaszcza, że to i ciężkie i niewygodne.

— A siostra opowie mi swoje dzieje? — pytam obok leżącej towarzyszki.

— I owszem. Pełniłam służbę jako sanitaryuszka na „Górze stracenia“. Dnia 12. listopada na wiadomość, iż na ulicy Wolność leży ranny legionista, poszłam tam razem z towarzyszką Olgą Maruniakówną. Obie miałyśmy odznaki Czerwonego Krzyża i miałyśmy nosze.

Gdy nas Ukraińcy zobaczyli z okien kasarni Ferdynanda, rozpoczęli na nas straszny ogień. Pod gradem kul położyliśmy rannego na nosze i biegiem puściliśmy się do rogu ulicy.

Już dopadałyśmy tego schronienia, gdy w tem otrzymałam strzał w nogę. Jeszcze kilka kroków postąpiłam i upadłam.

Zabrano mnie na wóz. Olga Maruniakówna siadła przy mnie i pojechałyśmy do Komendy „Góry stracenia“.

Po drodze trzykrotnie jeszcze nas ostrzeliwano, jak tylko miejsce, którem przejeżdżałyśmy, na to pozwalało. Dwa razy z kasarni Ferdynanda, raz z ogrodu szpitala izraelickiego.

Przy drugim ostrzeliwaniu, biedna Olga dostała strzał w głowę i usunęła się do wozu bezwładna.

Straszna to była rana! Kula przeszła przez oko, całą głowę, szyję i wyszła koło obojczyka.

— Istotnie, opowiadano mi, że była to jedna z najcięższych ran, jakie widziano.

Biedaczka! Wkrótce też umarła.

— Straszne chwile przebywałyście — zrobiłem uwagę.

— Straszne istotnie! Każdy nasz chód patrolowy w tych warunkach, to droga na śmierć. Ale cóż robić, tak trzeba...

— Słyszycie? — Tak trzeba!

— A jak z siostrą było? — pytam trzeciej rannej towarzyszki.

— Było to w listopadzie, jeszcze przed wyparciem Ukraińców ze Lwowa. Ja byłam sanitaryuszką w oddziale śp. kapitana Starka na Zamarstynowie. Nasi musieli się cofnąć pod naporem Ukraińców. W szkole, gdzie byłam z dwoma sanitaryuszkami, był prowiant i amunicja, które trzeba było ratować.

— Na Boga! siostry! pomóżcie ładować na wozy — prosił nas chorąży.

Rzuciliśmy się do ładowania, nie zważając na kule, coraz bliżej i coraz gęściej gwizdzące koło nas.

I udało nam się je naładować. Wozy ruszyły pędem, my chciałyśmy biedz za nimi... ale już zapóźno...

Ukraińcy okrążyli nas i wozy wprawdzie w ostatniej chwili uszły, lecz my wpadłyśmy do niewoli.

— Kto ty, sanitetka? — zapytał mnie jeden z żołnierzy chwytając za rękę.

— Tak jest.

— Polka?

— Polka!

— Ty ładowałaś amunicję i prowiant! Trzeba ją rozstrzelać — mówi — zwracając się do swoich towarzyszków.

— A trzeba!

— Lepiej jednak poczekać na porucznika — wtrąca jeden z nich, czy więcej ludzki od nich, czy może tylko formalista.

Jakoś trafiło to do przekonania innym.

Wkrótce też nadszedł porucznik.

— Panie poruczniku, ta sanitetka ładowała na wóz prowiant i amunicję. To komendantka tamtych dwóch — wskazali na moje towarzyszki.

— Taaaak? — przyskoczył do mnie i... wymierzył mi trzy policzki.

— Trzeba ją rozstrzelać mówią żołnierze.

— Rozumie się, ale poczekamy na komendanta, niech on postanowi.

— Panie poruczniku! Darujcie jej życie, przecież to nie jest zbrodnia, a zresztą my musieliśmy to zrobić, bo nam kazano! — proszą moje towarzyszki.

— Wszystkie będziecie rozstrzelane! — pocieszył je szlachetny rycerz.

— Ale naprzód pokaż, gdzie reszta amunicji i prowiantu.

— Nie wiem — odpowiadam.

I znów trzy siarczyste policzki spadają na moją twarz.

Podjudzeni przykładem oficera, przyskakują do mnie żołnierze i jeden z nich zamierza się na mnie pięścią... Ale porucznik odtrąca go. — Gdy ja biję, nikomu bić nie wolno...

— Co za szlachetna maksyma! Warta, by ją złotymi głoskami wypisać w rycerskim kodeksie ukraińskich oficerów!

— Zedrzyć z niej „czerwenyj chrest“! — rozkazuje dalej porucznik. Rzucili się żołnierze, jeden brutalnie zerwał mi broszkę z krzyżem z piersi, drugi szarpnął za opaskę, a czepek już sama zdjęłam, by uniknąć gwałtu.

Nie mogąc na mnie, na tych rzeczach wywarli swoją wściekłość, gdyż je poszarpali w kawałki i podeptali.

Nas wtrącono do sali, a porucznik 13 ludziom kazał nas pilnować i ciągle uważać przez okna, abyśmy nie uciekły.

Po chwili pewnej, słyszę za drzwiami rozmowę półgłosem prowadzoną.

— Ona pewnie ma pieniądze — mówi jeden.

— A ja widział u niej pierścionki na ręce — dodaje drugi.

— Trzeba jej odebrać.

Zimno mi się zrobiło. Wiem ja dobrze, co to będzie!

Podbiegłam do okna... niema nikogo... W oddali tylko przeciąga oddział Ukraińców z maszynowym karabinem.

Szybka decyzja! W jednej chwili jestem na oknie... z niego skok... i na ziemi. Podaję rękę towarzyszkom, a wkrótce i one za mną.

Chyłkiem, biegiem, przemykamy się koło parkanu i wpadamy na pola!

Drogę znam dobrze; przecież z Zamarstynowa jestem!

Wkrótce dopadłyśmy jaru i pod jego osłoną dostałyśmy się do Rzęsny polskiej, gdzie już nasi byli.

Tym razem mi się udało. Ale gorzej było 5. grudnia.

Dali nam znać, że blisko okopów ukraińskich leży ranny legionista. Idę więc z temi samemi towarzyszkami. One niosły nosze. Udało się nam jakoś niespostrzeżenie podsunąć do miejsca. Opatruję rannego, kładziemy go na nosze i wracamy. Ale z rannym to już trudne krycie się.

To też wkrótce nas spostrzegli.

Słyszałam ich rozmowę. — Odległość nie większa nad 50 kroków.

— O! Try baby idut! — mówi jeden z nich.

— To ne baby, to sanitetki, ne wydysz czerwenyj chrest?

Wkrótce potem padły dwa strzały. Obróciwszy się, ujrzałam, jak dwóch żołnierzy mierzy w nas.

— Biegnijcie prędzej! — wołam do towarzyszek, sama zaś zwalniam kroku.

— Dodaję, że z porady legionisty, wzięłam z sobą karabin, aby w razie napadu, móc się bronić.

Nie robię jednak jeszcze użytku z broni.

Przebiegamy niedaleko wsi, gdy w tem odzywa się terkot „maszynki“.

Patrzę skąd... Aha jest! Ustawiony na dachu stodoły.

Niedalej byłyśmy od niego jak na 50 kroków. Cud, że nas nie trafili! Musieli być bardzo zdenerwowani...

Ale tu już nie ma rady. Wnet się spostrzegą i zaczną lepiej mierzyć!

— Prędkiej! Prędkiej! — wołam do towarzyszek, sama zaś zatrzymuję się i zaczynam się odstrzeliwać. Po chwili „maszynka“ milknie.

Jeszcze chwila... w tem słyszę tupot szybkich kroków...

— Aha! — myślę... Gonią nas.

— Prędkiej! — krzyczę znowu do towarzyszek i sama cofam się tyłem. Słońce raziło mnie w twarz, więc podniosłam lewą rękę, gdy w tem uczułam w niej straszny ból...

— Ranna jestem! Wkładam więc czempredziej rękę do torby, w której miałam może funt waty i już co mam sił pędzę do swoich.

Dzięki Bogu już są niedaleko, może 20 kroków!

Jeszcze tyle sił miałam, że wpadłam do dworku i zaalarmowałam „chłopców“. Potem już straciłam przytomność.

— Biedaczka! Dostała ekrazytówkę w przedramię.

— Panie poruczniku, jabym tak chciała być zdrowa!

— Wierzę bardzo, ale i to nastąpi, tylko trzeba spokojnie leżeć i leczyć się.

— Kiedy jabym chciała koniecznie jeszcze na front pójść!

— Tak? Jeszcze siostrze nie dość?

— Kiedy oni tak strasznie naszych mordują! O! teraz, to pójdę już jako żołnierz!

— Może siostra opowie mi swoje dzieje — pytam się następnej. Biedaczka, całą głowę ma obandażowaną.

To historia najświeższych dni.

Było to w nocy z 28. na 29. grudnia.

Oddział nasz, pod naporem przeważających sił ukraińskich, musiał się cofnąć z Per-senkówki.

W karczmie była wtedy właśnie nasza patrol sanitarna, pod dowództwem podp. L. G. Jednej siostrze udało się uciec wczas, my jednak zostałyśmy, a z nami kilku żołnierzy, z których jeden leżał ranny w głowę.

Usłyszeliśmy okrzyk: „hurra!“ i grad kul posypał się na karczmę.

Jedna kula, przebiwszy drzwi, drasnęła mnie w szczyt głowy. Krew mnie oblała, ale rana była lekka i ja stałam dalej.

— Otwory! — Rozległ się krzyk przed samymi drzwiami.

— Drzwi otwarte! — odkrzyknęłam.

Zaraz też z trzaskiem drzwi się rozwarły i do izby wpadło kilku, może kilkunastu żołnierzy z karabinami, jakby do ataku na bagnety. Wszyscy na czapkach mieli białe opaski, a na nich jakieś litery.

Widząc to, podp. G. począł wołać, że jest lekarzem, ja zaś, że sanitaryuszką jestem.

— Ty sanitaryusz, ty doktor! — wrzasnął jeden żołnierz i bagnetem w pierś go uderzył. Równocześnie drugi kolbą wymierzył mu raz w głowę i zaraz go chwyciwszy, wywlekli za drzwi.

Co dalej z nim się stało, nie wiem, gdyż równocześnie inni żołnierze rzucili się na nas, i poczęli okładać kolbami i dźgać bagnetami.

Ja otrzymałam kolbą w głowę w to samo miejsce, gdzie byłam zranioną i padłam na ziemię.

Drugi żołnierz przyskoczył do mnie i chciał mnie przebić bagnetem, ale inny powstrzymał go uwagą: „Ta wże zabyta“.

Rozbiegli się potem po izbach, a ja korzystając z zamieszania, doczołgałam się do drzwi i dopadłam do komórki. Tam skryłam się za jakąś skrzynią.

Jeszcze trzykrotnie — słyszałam — wpadali żołnierze do karczmy i przeszukiwali ją. Raz nawet weszli do komórki, ale że było ciemno, czy też że nie podejrzewali niczego, nie przeszukiwali jej i tylko dali dwa strzały do wnętrza.

Na szczęście, trafili nie we mnie, lecz w ścianę i tylko gruz się posypał na mnie.

W kilka godzin później, nadjechał pociąg pancerny, spędził Ukraińców, a nas wziął ze sobą.

W karczmie leżały trzy trupy legionistów...

Prócz mnie, ranną była jeszcze inna sanitaryuszka, Stefania Franiszynówna. Biedna! Wkrótce umarła.

— A mówiła z nią siostra przed śmiercią? — pytam.

— Owszem.

Gdy nasi z miejsca opodal karczmy się cofali, ona zatrzymała się, by opatrzyć rannego Ukraińca.

Nie zważała na to, że ją już otoczono.

Wtem, na odległość kilku kroków rozległ się strzał i otrzymała pierwszą ranę.

— Ja sanitetka! — woła. — Ja opatruję waszego rannego!

— Ty sanitetka! Kłady sia!

Biedna dziewczyna kładzie się... i cztery kule przeszywają ją, a jedna z nich rani ją w kręgosłup... śmiertelnie... Niezaopatrzoną, wnoszą ją do jakiejś chaty... — a i tam jeszcze ta święta męczennica spokoju nie ma!

Oto podchodzą do niej ci „heroje“ podli i w męce jęczącą, pławiącą się we krwi... trącają i pięściami jej grożą!

— Przesada! — powiecie? Nie! Każde słowo jest prawdą! Z ust konającej biegły zeznania, a poparły je słowa naocznego świadka!

Przerwałem słuchanie...

W tych kilku tygodniach, więcej chwil strasznych przeżyłem, niż przez całe dość długie me życie...

Ledwie nie codzień śmierć widziałem... śmierć towarzyszków broni, komendantów i... dzieci... tych naszych bohaterskich „Lwowskich dzieci!“

Lecz to było coś innego. Śmierć na polu bitwy, w obronie Ojczyzny! A zresztą... stawka równa była!

Ale to dziewczę o gołębiem sercu a lwiej odwadze, tak strasznie, tragicznie zginęło!

To jakby największą świętość opluł i zdeptał nogami!

Mrok już zapadł i osnuł cieniami białą izbę... Noc Sylwestrowa się zbliża...

Spojrzałem wokoło...

Wszak to nasza młodzież! To nasz kwiat młodzieży!

Jedna z nich, to uczenica szkół wydziałowych, ta znowu stenografistka, a ta uczenica Akademii sztuk pięknych...

Cisza zaległa białą izbę... zamilkliśmy wszyscy... I tylko ponury huk armat i suchy grzechot karabinów, przerywał ciszę.

— Nie! jeszcze jeden głos!

Z rogu sali, gdzie żołnierz-dziewczyna spoczywa, odezwał się suchy, dudniący kaszel...

Ktoś nachylił się nad nią... blask świecy padł na twarz... Duże, czarne oczy były otwarte...

Czas odejść...

— Cześć Wam Siostry!

I chyba nigdy w życiu większej prawdy nie wypowiedziałem!

Gdy skończyłem pisać, otrzymałem wiadomość: Owa „dziewczyna-żołnierz“, Zofia Kościeszka Wrońska umarła. Ostatniem jej życzeniem było, być pochowaną w mundurze, obok dwóch przyjaciółek, które także padły w obronie Lwowa.

Cześć Jej pamięci!

Styczeń 1919.

KOBIETY-OBYWATELKI



był blisko jeszcze jesteśmy wojny — dla nas właściwie trwa ona — abyśmy mogli zdać sobie sprawę z jej wszystkich skutków i zmian, które wywołała. Trzask walących się w gruzy potęg, łuny pożarów, które przycisając w jednym miejscu, ze zdwojoną siłą wybuchają w drugim i głuchy jeszcze, lecz coraz wyraźniejszy pomruk fali zniszczenia, wzbierającej od wschodu, tak silnie oddziałują na nasze umysły, że te nie mogą działać refleksyjnie i odczuwać cichszych, choć także doniosłych ewolucji społecznych.

Tylko te, które z pragnień ludów, przerodziły się w hasła walki i na krwi falach wypłynąwszy zwycięsko, stały się wskaźnikiem nowego ustroju świata, są ogólnie znane: — Wolność narodów i demokratyzacja społeczeństw...

Lecz przecież są inne jeszcze...

Wojna niniejsza, to nie tylko potworny huragan, który jak domki z kart, zniósł z powierzchni ziemi wiekowe, a nie do zwalenia, jak się zdawało, gmachy... więzień narodów i wyrwał z niej stuletnie dęby... przesądów, wżartych w nią tysiącami korzeni...

Wojna niniejsza, to także pług pracowity, który swym lemieszem, wzruszył zaniedbaną rolę, pobudził jej twórczą siłę i pozwolił wątlm dotychczas roślinom, wybując na niej śmielszym i przez naturę widocznie wskazanym pędem.

Taką to rośliną była u nas dotychczas t. zw. „kwestya kobieca“. Nie jest moim zamiarem pisać o niej studyum i krytycznie rozbierać liczne jej *pro* i *contra*.

Ja chcę tylko zwrócić uwagę na głębokie i bardzo doniosłe zmiany, jakie zaszły od czasu tej wojny, w życiu polskiej kobiety, a będąc w szczęśliwym położeniu, iż mogłem je zauważyć na podstawie własnej obserwacyi, chcę rzecz tę przedstawić w świetle faktów i prawdy.

Już w początkach tej wojny, w czasie rosyjskiej inwazyi, byliśmy we Lwowie świadkami niezwykłego zjawiska.

Gdy życie gospodarcze miasta, załamowane wypadkami wojennymi i konsekwencyami ich, groziło ustaniem, a w rezultacie tegoż, wprost katastrofą dla dziesiątek tysięcy osób, w jednej chwili rzecz można, jakby pod wpływem jednego i równocześnie odczutego hasła, stanęły tysiączne rzesze kobiet do pracy.

I to nie do tej pracy na efekt i pokaz, do której dotychczas byliśmy u kobiet przyzwyczajeni, w postaci naprzykład went, loteryi i t. p. karotaży, lecz do pracy ciężkiej, dniem i nocą nieraz trwającej, a wymagającej nietylko ofiary z wygod i przyzwyczajęń, lecz i nakładu sił fizycznych, a często i narażenia miłości własnej.

Wyludniły się z polskich kobiet miejskie promenady, „dwunastówki“, parki i t. d., natomiast zaludniły się różne „tanie kuchnie“, herbaciarnie i inne życiodajne instytucye, w których zgłodniałe i inaczej wprost na śmierć głodową skazane tysiące osób, otrzymywały porządnie przyrządzone i zdrowe jedzenie.

Jeśli zaś niespożytej pracy i pieczołowitości ówczesnego zarządu miasta zawdzięczamy ten wspaniały stan aprowizacyi, który w czasie obecnym jest ideałem nie do osiągnięcia, to

nie mniejszą zasługę musi się przyznać tym tysiącom Polek, którym zawdzięczyć należy, iż zaopatrzenie ludności odbywało się i rzetelnie i po najmniejszym koszcie.

Charakterystycznym zaś momentem w tej sprawie jest nie dobroć, szlachetność, czy jak tam tę ewangeliczną cnotę nazwać należy, lecz ta tężyżna działania, z którą u naszych kobiet w tej ilości i mierze, dotychczas nie mieliśmy sposobności się spotkać, a przynajmniej otwarcie i nie spodziewaliśmy się...

Zmienił się los wojny, a z nim i stosunki. Zniknęły te najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek istniały, prawdziwie humanitarne instytucje, a opisana wyżej działalność kobiet, ściśle z niemi zespolona, ustała.

Wypadki wojenne, z zawrotną szybkością po sobie następujące i prawie codziennie tworzące dla nas inną sytuację, dalej, coraz bardziej pogarszające się warunki życiowe, klęski rodzinne i narodowe ciosy, odwróciły naszą uwagę od tego epizodycznego przejawu i utonął on w masie faktów, czekających lepszych czasów... spokoju...

Lecz prędzej nim spodziewaliśmy się, a nawet ponad nasze spodziewanie, stanęliśmy znowu przed dziwnym przejawem ducha kobiecego.

U nas we Lwowie, zrodził go dzień 1. listopada 1918.

Niedawny on, choć tyle krwi już, męki i ofiar dzieli nas od niego!

Skrytobójczy napad, pod nadużytem hasłem „samostanowienia narodów“, głośnie echem odezwał się w naszym mieście.

Wszyscy Polacy potępili go, lecz niestety nie wszyscy odpowiedzieli nań tak, jak należało...

Jedni w słowach dali upływ swemu oburzeniu, będąc jednak przeciwni przelewowi „bratniej“ krwi, radzili przyjąć w spokoju fakt dokonany i... protestować...

Drudzy nic nie mówili, lecz wzięli się do czynu!

Znane nam dobrze wszystkim te straszne, lecz zarazem przepiękne czasy: walki pięści z bagnetem, jednego przeciw dziesięciu, ochotników przeciw regularnej armii... walki zakończonej zwycięstwem!

W czasach tych właśnie, zrodził się nowy „Czyn“, o którym chcę mówić.

Jakby prąd elektryczny przeszedł polskie kobiety, a pod jego wpływem zaczęły się dziać dziwne rzeczy...

Polki wzięły czynny udział w obronie polskiego grodu!

Miałem sposobność wejrzeć do raportów i komunikatów, przesyłanych w tych czasach przez komendantów oddziałów Naczelnej Komendy Wojsk Polskich broniących Lwowa. Że przedstawiają one prawdziwy stan rzeczy, w to chyba nikt wątpić nie będzie.

Chwila za poważna była na poetyczne fantazje, a rzecz sama wymagała jak najściślejszej prawdy. Niektóre z nich przytoczę w dosłownym brzmieniu, a umyślnie wybieram fakty, ilustrujące wszechstronną działalność kobiet w obronie Lwowa.

„...Wielkie zasługi w wyżywieniu żołnierzy położyły panie ochotniczki — jedna z pierwszych p. Kalenbachowa — kierując kuchnią w Domu techników, gdzie przygotowywano jedzenie dla walczących żołnierzy i skąd roznoszono ciepłe potrawy na poszczególne placówki...”

„...Ogromne zasługi oddały nam zorganizowane przez kobiety pralnie, szwalnie i kuchnie...”

Raport z 10. listopada 1918: „...Pierwszą pomoc natychmiastową niósł rannym pod gradem kul ryg. med. Ostrowski ze swym patrolem sanitarnym, umieszczonym w ogrodzie ruskiego seminarium, gdzie znosiły rannych: p. Domaszewiczowa, sekc. sanit. Olga Gnatowicz, sanit. Biernacka i Trudnerówna...”

Raport z 17. listopada 1918: „...Równocześnie inne placówki i patrole toczą ciągłą walkę na całym odcinku. Zostaje ranna w chwili niesienia pomocy rannym, sanit. Broni-



13. III. 1919
z natury
Sozanski

LEGIONISTKA PRZY ARMATCE

sława Trudnerówna. Pada również w chwili, gdy pod osłoną międzynarodowego znaku Czerwonego Krzyża i w czasie zawieszenia broni pełni swój obowiązek na poczcie, sanit. Anatola Bieganówna.

Nadzwyczaj dzielnie pełni swój obowiązek Marya Brzozowska, która od pierwszej chwili służy w szeregach z bronią w ręku na odcinku pl. Matejki, nieopuszczając żadnej patroli lub wypadu w stronę nieprzyjaciela, jak również i szeregowiec Stanisława Muszyńska, która pełni twardą służbę żołnierską we Lwowie...

Raport z 17/11..... Opiera się wytrwale i z nadzwyczajnym skutkiem ciągłym zakusom nieprzyjaciela por. Mond na ul. Radeckiej, a z pośród jego podkomendnych, zastępują na wyróżnienie ppor. Świtalski, chor. Socha, Lipiński, sekc. Magiera, szereg. Bujwiłdówna i Tennikówna.....

Raport z 21/XI..... „Niemordowanie działa patrol sanitarna pod komendą ryg. med. Ostrowskiego, który przy pomocy chor. sanit. Görza, opatruje rannych, przynoszonych przez sanit. Elę Grabowską, Olę Gnatowicz, Józefę Przepilińską i Izę Torosiewicz, które nie wahając się, docierają do pierwszych linii, ostrzeliwane przez Ukraińców, mimo międzynarodowego znaku Czerwonego Krzyża i dnia poprzedniego zawartej konwencji.....

.....Kuryerki pełniły służbę łącznikową między dwoma częściami miasta.

Przenosiły rozkazy i raporty przez linię bojową, przeprowadzały partyami ludzi drogami okolnymi do wojska polskiego, zbierały wywiady o pozycjach dział, karabinów maszynowych, oddziałów wojskowych i t. d.

Pełniły służbę dzień i noc, przedzierały się przez linię bojową przeważnie w ogniu.

Zdarzało się często, że jedna i ta sama, dwa razy dziennie tam i z powrotem przechodzić musiała przez linię bojową.

Wykazały dużo odwagi i poświęcenia i oddały wielokrotnie, ogromne usługi sprawie obrony Lwowa...”

I mógłbym jeszcze dziesiątki podobnych przykładów przytoczyć. Roi się od nich w tym zbiorze.

Lecz sądzę, że wyżej przytoczone w zupełności wystarczą, by dać wszechstronny a prawdziwy obraz działalności kobiet w tych niezapomnianych czasach.

Wreszcie nadszedł dzień 22. listopada...

Wojska ukraińskie w popłochu ustąpiły ze Lwowa, a całe miasto niepodzielnie, zajęły nasze wojska.

Lecz z tą chwilą, nie skończyła się działalność kobiet!

Przeciwnie! Jesteśmy świadkami, jak spontaniczne na oko z początku odruchy tej działalności, na kształt drobiny, owładniętych ruchem dośrodkowym, skupiają się i zaczynają w naszych oczach tworzyć nowy pierwiastek ducha kobiecego.

Już w pierwszych dniach grudnia, tworzy się zupełnie nowa dotychczas organizacja, początkowo pod nazwą „Straży Obywatelskiej Kobiet“, potem zaś „Milicyi Obywatelskiej Kobiet“.

Zadanie jej różnorodne i bardzo trudne.

Początkowo, ograniczała się ona do patrolowania na ulicach miasta, kontroli uchylających się przed służbą wojskową mężczyzn i do pełnienia straży przy działach.

W miarę rozwoju, co przypada już na pierwszą połowę grudnia, zaczyna Milicya obsadzać posterunki przy sklepach celem pilnowania porządku i wysyłać patrole nocne do rogatek i przedmieść.

W tym czasie mniej więcej, dokonał się podział jej na trzy grupy: 1. bojowa, obowiązująca na wypadek walki w mieście, do wzięcia w niej udziału, 2. straż obywatelska, mająca obowiązek pilnowania porządku, bez obowiązku jednak grupy pierwszej i 3. kuryerki, pełniące służbę łącznikową pomiędzy komendami.

Niezależnie od tej organizacyi, wiele kobiet pełni nadto służbę wojskową na froncie, w oddziałach wojskowych.

Około świąt Bożego Narodzenia, w czasie gdy zarządzono ostre pogotowie, pierwsza grupa kilkakrotnie była wysyłaną na front, gdzie zajmowała przednie placówki.

W dalszym rozwoju organizacyi, której pożyteczność i potrzeba coraz bardziej dawały się odczuwać, znowu nastąpiło przekształcenie i podział.

Pierwsza grupa mianowicie, przekształciła się na ściśle wojskową organizację, pod nazwą „Ochotniczej Legii Kobiet“ i stanowi już zupełnie regularny, na wojskowych zasadach zbudowany oddział Wojska Polskiego.

Legionistki składają przysięgę wojskową, mieszkają w koszarach i otrzymują żołd, wikt i umundurowanie.

Służba ich polega na obsadzaniu posterunków wartowniczych przy magazynach wojskowych, kasach, składach amunicyi, działach i t. p., a także na nocnem patrolowaniu aż do rogatek miejskich.

W ostatnich czasach, do grupy tej przydzielono także kobiety, pełniące dotychczas służbę na froncie, w oddziałach męskich.

Napiływ ochotniczek jest coraz większy tak ze Lwowa, jak i ze stron dalszych. W dniu 1. lutego przybył oddział akademiczek z Krakowa, dnia 8. lutego pluton ochotniczek z Warszawy i sygnalizowane są już dalsze zgłoszenia, nawet z Wielkopolski.

Stosowany jest rygor ściśle wojskowy, a różnica co do niego z mężczyznami jest ta chyba tylko, że — nie uwłaczając wcale żołnierzom — legionistki, o ile to możliwe, jeszcze chętniej i karniej mu się poddają.

Rekrutują się one w $\frac{3}{4}$ częściach ze sfer wykształconych, a mianowicie: z nauczycielek, słuchaczek uniwersytetu, urzędniczek państwowych i prywatnych i t. d.

Do przyjęcia do Legii wymaganem jest, prócz innych formalnych wymogów, nadto polecenie przez instytucje, stowarzyszenia lub przez poważnych obywateli i obywatelki.

Legionistkami wreszcie, mogą być tylko Polki.

Ponieważ rwą się one do służby na froncie, więc jako nagrodę za wytrwałą i karną pracę, ustanowiono utworzenie z zasługujących na nią legionistek, osobnego oddziału karabinów maszynowych.

Ćwiczenia odbywają się pod nadzorem i kierownictwem oficerów, a celem wyszkolenia sił własnych, utworzony został kurs podoficerski.

A jaka korzyść z tego? Czy to potrzebne? — zapyta niejeden.

Już sam szybki i stały rozwój tych organizacyi, tudzież gorące poparcie, jakiego one doznają od władz wojskowych, od najwyższej począwszy, daje dostateczną i zupełnie jasną odpowiedź.

Gdyby to miało być tylko sportową zabawką, nakazaną przez modny kobiecy kaprys, wierzcie mi Czytelnicy, że władze wojskowe, a i wojsko samo nie znieśliby tego, a tem mniej, uczyniłoby im poparcia, pomocy i sympatii.

W chwili, gdy u rogatek prawie krew się leje, a miastem wstrząsa huk armat, w chwili, gdy ledwie nie codziennie, przesuwają się ulicami pogrzebowe konduktory zabitych w walce lub pomordowanych bez niej, w chwili, gdy waży się dla nas hamletowskie pytanie na kresach: „Być albo nie być“, taka maskarada bez istotnej potrzeby i korzyści, byłaby świętokradzkim zbeszczeszczaniem świętości naszej walki i szyderstwem z ofiarnej krwi obrońców miasta i kraju!

Może te słowa Wam nie wystarczą?

Więc przytoczę Wam inne, nie przez byle kogo, bo przez kierownika rządu, przez Paderewskiego onegdaj do prezydium naszego miasta wypowiedziane:

„Chwile, które Gród Wasz przeżywa z takim poświęceniem nadludzkim, walki żołnierzy, kobiet i dzieci, zostają w dziejach ducha polskiego jako klejnot i relikwie“.

Lecz może i to Was nie przekonuje... Trudno! „Nikt nie jest prorokiem we własnej Ojczyźnie...“

Więc przytoczę Wam jeszcze inne słowa, już przez cudzoziemca wypowiedziane, a którego chyba nawet największy sceptyk nie posądzi, że chciał nam przy pożegnaniu rzucić w swych słowach, zdawkową monetę uprzejmości. Charakter kierownika misji koalicyjnej w którym przemawiał, kazał mu każde słowo ważyć na szali i nie pozwoliłby mu to stwierdzić, coby nie było zupełnie pewnem, nie do zaprzeczenia.

„Skłaniamy nisko głowy przed tymi mężczyznami i przed temi szlachetnemi kobietami i przed bohaterskimi dziećmi, które — jak sami przekonaliśmy się — jednomyślnie znoszą tyle cierpień i radośnie przelewają krew, by głośno stwierdzić, by krzyczeć na cały świat, że są Polakami i Polakami zostaną!“

Tak mówił onegdaj szlachetny Francuz, generał Barthelemy, a jak naoczni świadkowie stwierdzają, mówił ze wzruszeniem, które się w głosie jego przebiło...

Więc przestańcie krytykować, Wy, którzy napróżno chcecie nawiązać między „nowymi“ a „staremi“ prawami, nic tradycyjnej łączności, lecz nie tej, zrodzonej z poszumu skrzydeł husarskich i poświstu Racławickich kos, których patronkami są Zofia Chrzanowska i Emilia Plater, lecz tej tradycji, wyległej w zatęchłej staroświeckiej komnacie, przepojonej „larendograw“, tradycji, której wyobrazicielką jest dziewczica „z buzią w ciup i rączkami w małdrzyk...“

I Wy także przestańcie się natrzasać, którzy zwyczajni widzieć na niemieckich „überbretlach“ komediantki, lubieżnie w mundury odziane i wrzaskliwym głosem wyśpiewujące pornograficzno-patryotyczne kuplety, chcecie w naszych kobietach-żołnierzach, dojrzeć ich podobieństwo...

I rzecz i chwila nie po temu!

„W dymie pożarów, kurzu krwi bratniej“ powstaje do nowego życia nasza Ojczyzna...

Jako nagrodę za odwalenie wieka jej trumny, za mękę i krew za jej wolność i całość przelaną, otwiera nam ramiona, by nas wszystkie swe dzieci, jednym i równie gorącym objąć uściskiem...

Z jej odrodzeniem, wstępują kobiety w równe z nami prawa.

Lecz czy sprostają obowiązkom, które z nich płyną?

Ja w to nie wątpię!

Chwile obecne, które przeżywamy na kresach wschodnich i zachodnich, to ich egzamin; a jak dochodzą nas wiadomości z ostatnich czasów, do egzaminu tego, zgłaszają się tłumnie i zdają go świetnie... nie tylko na polach najbliżej nas leżących...

Więc wierzyć możemy, że i w dalszej budowie wspólnego domu nas nie zawiodą i cieszyć się, że do tej pracy, przybyła nam w pomoc podwójna ilość rąk.

Straszne czasy przeżywamy, ale i cudne zarazem, których potomność zazdrościć nam będzie!

Na czele Państwa stoi mąż, który od najrańszych dni swojego życia o jego odrodzeniu myślał i nad niem pracował, a do niedawna jeszcze banita, ścigany jak zwierzę dziki i jak ten więziony...

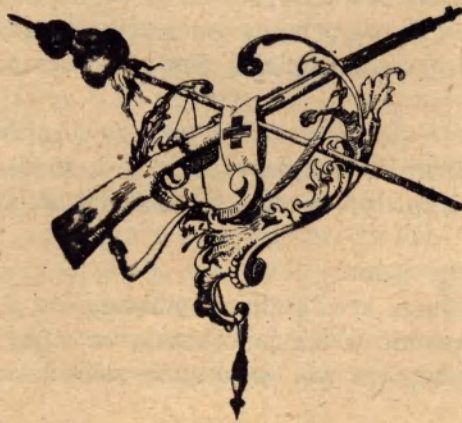
Na czele Rządu zaś mistrz, który ukryty w swej duszy skarb tonów, w precudną przelał czynów symfonię...

Granice Ojczyzny broni Dziecko-bohater...

A na straży Jej praw i dobra, staje Kobieta-obywatelka...

Warto żyć!

Luty, 1919.



POLE ŚMIERCI



zy chcesz pan zobaczyć pole bitwy?

— Dziękuję. Nic ciekawego. Widziałem ich dość.

— Ale nie takie zwykłe, jakich pełno w naszym zniszczonym kraju, z których znikła już groza walki, a tylko szczerzą się łachmany tej wojennej szaty, w postaci zasieków i rowów, budzące raczej wstręt niż grozę. Ja panu pokażę prawdziwe pole bitwy, w całej jej wspaniałej szacie bojowej, z całą grozą walki, jakby zastygłej w powietrzu.

Niczego tam nie brak! Są i milami ciągnące się zasieki druczane, są rowy strzeleckie, lisie jamy i zawrotne leje minowe. Są ziemianki na setki ludzi, a tak niewidoczne, że przejść koło nich można i nie spostrzedz ich.

I to wszystko nie puste, nie! Zobacz pan i ludzi!

Zobaczy pan jak żyli, co jedli i pili i jak czas wolny od walki spędzali. Ujrzy pan ich walczących także, chwyconych kościstą dłonią śmierci i tak zastygłych w ostatnim odruchu życia...

Fantazya pańska niewiele będzie miała pracy, by sobie odtworzyć krytyczną chwilę.

Dodać tylko przeciągły huk armat, terkot karabinów, wściekłe okrzyki: „hurra!“... no i jęki rannych i harkot konających...

— Chce mi pan może obraz pokazać? Albo na czarodziejskim płaszczu przenieść nad jakiś front?

— Broń Boże! Weźmiemy najzwyklejsze szkapy i za godzinę, najwyżej za półtorej, jesteśmy na miejscu.

— Zgoda!

Pojechaliśmy.

Droga wiedzie początkowo gościńcem, do Pieniak wiodącym. Śliczny gościniec... Cały wyłożony wszerek kładzionymi belkami, jak wogóle wszystkie tutaj drogi, na milowych przestrzeniach. To też nie dziw, że z cudnych lasów, tysiącami morgów tu się ciągnących, pozostały suchotnicze resztki tylko!

Niedaleko Pieniak, skręcamy na lewo, na drogę polną do Szyszkowiec i Zwyżynia wiodącą.

Już u wstępu prawie, witają nas długie pasma zasieków druczanych, a za nimi, strzeleckie rowy.

Droga wściekła. Niktby nie uwierzył, że tu taka górzysta okolica. Zjeżdżamy nieraz na łeb na szyję, trzymając się kurczowo drabiny wozu, albo pniemy się w górę, jak na jakiś Gewont.

Okolice coraz dziksza. Pełno wyrw i jarów, przemienionych w fortece, gdzieniegdzie jeszcze całe, nienaruszone, gdzieniegdzie jednak rozbite pociskami, których resztki leżą dookoła. W dali ukazuje się las... Pierwsze wrażenie! To nie jest zwykły las, choćby mniej lub więcej zniszczony. Ot, jakby olbrzymie miotły, tronami ku ziemi obrócił. Sterczą ku niebu

szare badyle i trudno nawet rozpoznać, czy to drzewa liściaste, czy szpilkowe... były... Ani jednej zielonej gałązki!

Zdrowo go oporzadzili, tylko ciąć!

Schodzimy z wozu, gdyż dalej trudno jechać. Przechodzimy przez potok ledwie sączący się. To Ikwa!

Sławna Ikwa, o której pełno wzmianek w komunikatach z lat 1916 i 1917! Kto jej nie zna, przedstawia ją sobie jako rzekę dorodną, toczącą mniej lub więcej bystre fale, które swymi nurtami, rozdzielały walczące wojska.

Gdzież tam! Ikwa, to właściwie bagno, wśród którego wije się leniwo, wąska wstęga wody. W lecie ona niegroźna i żadnej przeszkody do przejścia nie stanowi.

Zato w deszczowej jesieni i w zimie niemroźnej, straszniejsza od Sanu, Wisły, od Dunaju nawet.

I to tłumaczy jej ogromne znaczenie i te strasne walki, jakie u jej brzegów się toczyły.

Teraz i mostka do przejścia nie potrzeba.

Idziemy dalej w górę. Tuż na skrócie do jaru, wita nas obalona na ziemię figura. Znam ją dobrze z dawnych czasów. Święty Onufry, klęczący, z brodą do kolan. Tylko teraz bez brody i bez głowy nawet. Czy pocisk mu je oderwał, czy może ręka saldata rosyjskiego, z dziwną nienawiścią masakrującego nasze figury przydrożne, nie wiadomo.

Wchodzimy wreszcie na płaskowzgórz. Tu stał Zwyżni. Rozglądam się... nie widzę go... Gdzie się podział? Znałem go dobrze, nieraz bowiem byłem tu na komisji. Lecz nie tylko domów tu niema, ale i ziemia jakaś inna. Trudno mi z początku zorientować się, więc pytam chłopaka: „Co tu było? pastwisko?”

— Ta gdzie! To wieś!...

Ziemia zryta wzdłuż i wszerz, jakby ręką szaleńca olbrzyma! Co krok, głębokie doły, jakby cyrklem zatoczone, tak umiarowe. To leje granatów.

Nagle stajemy. Przed nami rozwiera się olbrzymi lej, mający setki metrów kwadratowych powierzchni, głęboki na dwa piętra może.

— Tu stała chata — mówi chłopiec...

To lej minowy.

Wedle opowiadania towarzyszącego mi lekarza wojskowego, który niedaleko stąd koło lasu stał na pozycji, w miejscu tem była pozycja rosyjska, którą Niemcy wysadzili miną w powietrze. Było to 23. lutego 1917.

Huk miał być tak ogłuszający, że na chwilę pozbawił ludzi przytomności i na chwilę ciemno się zrobiło.

Schodzę ostrożnie na dół. Czego tam niema! Cały magazyn rzeczy! Są bluzy i płaszcze, trzewiki i buty, kawałki broni, łopaty, naboje, papiery, zblakłe kartki, zdaje się widokowe, rzemienie i Bóg wie co jeszcze!

Jakaś zabawka leży... Rączka zakończona kulą... To granat ręczny, niewypalony jeszcze...

Ostrożnie zatem, gdyż ich mnóstwo leży dokoła. Opodał tego leja leży drugi, podobny, z tą tylko różnicą, że dół jego przecięty poprzecznym nasypem. Ma to być grób całej kompanii rosyjskiej, która tam zginęła.

Niedaleko stąd, może z 20 kroków najwyżej, leżą pozycje niemieckie. Właściwie trudno rozpoznać linie wzajemnych pozycji. Tu walka toczyła się bowiem pierś o pierś i linie walczących wierały się w siebie, a stanowiska, często zmieniały panów.

Schodzimy do tych pozycji. Całe miasto z wąskimi uliczkami, wyłożonemi deszczułkami w poprzek, lecz w odstępach, aby woda na dół mogła spływać. Stoki chronione śliczną, matowo szarą siatką drucianą. W ścianach stoków, otwory kwadratowe, wyłożone drzewem,



...I coś sobie ładzi...

wskos w ziemię drążące. Nad niemi, na deszczułkach drukowane napisy: „Stollen Nr. . . . beleg mit 42 Mann“.

Takich otworów co niemiara. Tysiące tam żyły pod ziemią, wiele metrów w głąb, wśród ścian wyłożonych deskami, dokąd nie dochodził ich nawet odgłos toczącej się nad nimi bitwy, a chyba tylko ponury pomruk dział-potworów.

Ale chodźmy dalej!

W niewielkiej odległości od tej pozycji widać zasieki. Lecz nie te stojące równo, jak szeregi wojska na paradzie, jak im podobne widzieliśmy jadąc. To szczątki tylko zasieków, splątane z sobą, miejscami w ziemię wbite, miejscami sterczące w powietrzu, jakby je jakiś kataklizm uszkodził. I tak było istotnie! Łała się na nie lawa pocisków, rwała je ręka zbrojna w nożyce, deptały je setki, tysiące może nóg.

Zbliżamy się do nich... Coś mnie za wzrok chwyta... nachylam się... Jakaś ciemna masa wśród drutów się odcina. Widać kości stosu pacierzowego, łopatkę, no i strzępy munduru. Wszystko to razem z ziemią zmieszane... Druć, kości, mundur, ziemia... Nie trudno odgadnąć, zwłaszcza, że dokoła leżą czerepy pocisków...

Idziemy dalej. O kilka kroków, zrywa się rój much, dużych, zielonych. Bzyczą, jakby w gniewie i tylko dymem papierosów utrzymać je można zdała.

Przed nami, leży szara postać w szynelu rosyjskim, twarzą do ziemi. Właściwie ściśle mówiąc, czaszką do ziemi... Z prawego boku czaszki, otwór wielkości pięści. Ze spodni wystają piszczele nóg, brudno-brunatną masą i resztkami ściągien pokryte... Opodał, szczątek karabinu.

Odchodzimy prędko, bo... zapach straszny, a i muchy zaczynają być coraz na pastliwsze. Widocznie wściekle za przerwanie im uczty.

Kilka kroków dalej, nowa postać.

Zgięty stos pacierzowy z kończyną chrząstek szyi. Odnoszę wrażenie, że biedak trafiony kulą, zawisł na drutach no... i wisi tak sobie dalej...

Tuż niedaleko, sterczy kawał rękawa, a z niego wystaje otwarta dłoń, jakby z prośbą o litość.

— Co tu robi ta ręka? Gdzie reszta ciała? — pytam.

— Psy rozwłóczyły i wrony — odpowiada chłopak.

I znowu czaszka ciekawie wygląda z kołnierza płaszczu. Ta patrzy na nas z trupim grymasem, aż zimno się robi.

Pod nogą coś chrzęści... To kość biodrowa, ukryta w prochu i trawie.

A to co!? Jakaś potwornie gruba, brunatna gąsienica przed nami się wije...

Zbliżamy się do niej... Mimowoli sięgam do kapelusza, by oddać pokłon...

To jeden z największych wytworów cywilizacji naszej, to pocisk 30·5 cm.!

Niewypalony...

Z uszanowaniem i tremą zbliżamy się do niego. Nie obcy mi on. Widziałem podobne mu... we Lwowie. Stoją przy ulicy Karola Ludwika, przybrane w ładne sukienki, jak tresowane pieski służąc i szczerząc do przechodniów zęby, jakby prosiły, by im w nie wrzuciono jałmużnę.

Ludzie prędko się z nimi oswoili i już nie zwracają na nie uwagi.

I na mnie przestały one już robić wrażenie.

Ale ten, to co innego! Tu jest on w swoim żywiole i budzi istotnie strach i grozę.

Wszak co krok spotyka się tu świadectwa jego działania, jego bezwzględnie bezlitosnej siły niszczyielskiej!

Te leje potworne, które dokoła zryły ziemię, te masy zasieków, wbite w ziemię i w górę dźwignięte, te aliaże z kości, ziemi i drutu, to jego dzieło!

Tu on wygląda jak brytan na uwięzi, który milczy wprawdzie, lecz czai się i tylko

na sposobność czeka, by z potwornem waknięciem skoczyć i rozerwać!... Lepiej więc z daleka od niego.

I nie jest on samotny. O kilkanaście kroków dalej leży, brat jego, równie wielki i równie groźny.

„Tam dalej jest jeszcze jeden“, mówi chłopiec.

Ale już dość mamy tych dwóch, dość nawet innych widoków.

Chcą nas prowadzić, gdzie podobno siedzi trup na krześle, gdzie kilka zwłok obok siebie leży, może braci, a może wrogów dla siebie.

Obiecują nam, że w pobliskim lesie pokażą nam równie „ciekawe“ widoki.

Ale my już nieciekawili!... To, co widzieliśmy, budzi w nas taką grozę, smutek i... wstyd, że chcemy się jak najprędzej stąd wydostać!

Zresztą nie bardzo tu bezpiecznie. Te roje much, brzęczą ustawicznie koło nas, a dzień jest wyjątkowo upalny.

Do tego, trzeba uważać pod nogi, bo a nuż jakiś niewypalony granat ręczny lub szrapnel!

Doktor tylko chciałby jeszcze zwiedzić dawną swoją pozycję, więc puścił się pod las.

My zostaliśmy i oczekując powrotu jego, robimy tymczasem zdjęcia fotograficzne.

To będą istotnie unikaty!

Wkrótce jednak powrócił doktor.

Nie mógł przedostać się do swej pozycji, gdyż musiałby przejść przez kawał lasu, a ten taki pełen wykrotów, zasieków i drzew zwalonych, że wolał zaniechać zamiaru.

Tylko częśćkę i to bardzo małą zwiedziliśmy pola bitwy, a zabrało to nam kilka godzin czasu. Zwiedzenie całej, choćby tylko jednej wyżyny, potrwałoby chyba dzień cały.

Ze Zwyżyniem, łączy się Bątków, a ten odcinek cały, był w największym ogniu przez szereg miesięcy, aż do przełomu w lipcu 1917.

Od tego czasu, cicho tu i pusto...

Wojska przeszły walcząc na Wołyń, mieszkańcy albo w barakach uchodźczych, albo w pobliskich Szyszkowcach, Markopolu, a ich miejsce zajęły psy i wrony...

Ale przecież jest jeden mieszkaniec.

Tuż za zasiekami, na samej wyżynie, stoi mała lepianka. Żłocista barwa gliny i biel drzewa wskazuje, że świeżo postawiona.

Bardzo prymitywna. Zdaje się, że takie same stawiano i przed tysiącem lat.

Ot, aby gdzie głowę położyć!

W oknach wprawione kawałki szyb, sztukowanych deszczułkami i papierem.

Przed chatą, leży trochę drzewa i drutu.

Niedaleko półko obsadzone ziemniakami. Obok, sterczy kilka potrzaskanych pni drzewa. Podchodzimy bliżej i widzimy przed chatą starego chłopca. Trzyma w ręku siekiere, widać coś sobie „ładzi“.

Twarz ziemnistego koloru, postać zgięta, ubrany w pańskie „łachmany“.

Patrzy na nas bez ciekawości, raczej nieufnie.

„Wy tu teraz sprowadziliście się?“ — pytam.

„To moje posiedzenie, więc wróciłem do niego“.

Wdaję się z nim w rozmowę i po pewnym czasie, udało mi się rozprószyć nieufność.

On służył wojskowo, a żona z dziećmi była pod Lwowem w barakach. Ponieważ już ma lat 50, więc go uwolniono z wojska. Żona umarła na uchodźstwie, a on wrócił z dziećmi do „domu“.

Właściwie nie do domu, lecz na miejsce, gdzie stał przedtem jego dom.

Uchodząc z domu, zostawił 35 korcy kartofli. A ile zboża i innego dobra! Śliczny miał sad!

„Gdyby pan tak przed wojną przyszedł! Jakie to były śliwy, morele, czereśnie!”
Nawiasem mówiąc, Zwyżyn sławny był ze sadów.

„Nic mi się nie zostało! Ot, zbudowałem sobie tę chałupinę, wysadziłem kaszkiety kartofli, a w zimie trzeba będzie chyba z głodu umrzeć...”

Wypowiedział to głosem naturalnym, bez patosu, ale tak jakoś dziwnie, że mnie za serce szarpnęło.

„A nikt wam nie pomógł, nikt się wami nie zajmuje?” spytałem.

„Któż ma się zajmować?” odparł.

„Trzeba iść do Brodów, do starostwa”.

„Byłem, ale tam na bramie nie puszczają”.

Utkwił zwrok w ziemię i dodał:

„Kazali spisywać numery w Szyszkowcach, ale nikt nie wie na co”.

„A nie straszno wam tu mieszkać?”

„Ta czego? To naród spokojny, on już nikomu nic złego nie zrobi”.

Ej! czy on naprawdę taki spokojny, wieleby o tem mogły powiedzieć okoliczne wsie: Szyszkowce, Palikrowy, Popowce, Nakwasza, Czernica i inne...

„Ja o was powiem ludziom; jak się nazywacie?”

„Bartko Machowski”.

Adres bardzo łatwy: Wzgórze bitwy zwyżyńskiej pod lasem.

W ostateczności, jeśli oko zawiedzie to nas poprowadzi niechybnie...

Dla ścisłości dodaję, że ma dorosłą córkę, ale ta jeszcze przed wojną poszła na robotę do Prus.

„Podobno — mówi — nie puszczają stamtąd, ale i lepiej że nie wraca, bo chyba z nami z głodu tu by zginęła”...

Podkamień, koło Brodów, 3. VIII. 1918.

UPIORNA TYRALIERA



ie przypuszczałem, że tak rychło danem mi będzie powtórnie oglądać nie-
szczęsny Zwyżyń.

Tym razem już nie z własnej woli, lecz w wykonywaniu swego urzędu, wskutek doniesienia o śmierci chłopaka wiejskiego, rozszarpanego pociskiem armatnim.

Szarym rankiem w mgły spowitym, przyjechaliśmy na miejsce. U wejścia do wsi, oczekuje nas gromadka ludu.

Ale jakich ludzi! Zgarbione postacie, twarze zeschnięte, sino-żółte, wzrok tępy jakby mgłą przysłonięty, ruchy powolne, ociężałe, a że i cisza między nimi panowała, więc robili wrażenie raczej widm niż ludzi...

Na pierwszy rzut oka zdawało się, że to sami starcy, lecz po bliższem przypatrzeniu się poznać było można, że wielu między nimi młodych, zwłaszcza kobiet.

Tylko nędza, ta straszna, skrajna nędza, nawet w tegoczesnych wojennych warunkach wyjątkowa, wybiła na ich postaciach ten stygmat zgrzybiałości prawie.

— Ile lat macie? — pytam jedną kobietę zeschniętą jak trzaska, żółtą jak liść jesienny z drzewa opadły.

— A ja wiem? Może będzie trzydzieści.

Śmiało możnaby jej dać 60 lat.

— Niech panowie dalej nie jadą — mówi jeden chłop.

— Dlaczego?

— Na drodze leży wszędzie mnóstwo niewypalonych pocisków, więc łatwo o wypadek, jeśli koło wozu o który potraci.

— Racya. — Zsiadamy więc i idziemy dalej pieszo.

Istotnie, po bokach drogi wiejskiej, prowadzącej wężowato wzgórkami, spotyka się mnóstwo pocisków. Przeważnie puste płaszcze szrapnelowe, wiele jednak także niewypalonych. Na kilkuminutowej przestrzeni naliczyłem ich siedm. Łatwo je poznać, gdyż płaszcze i zapalniczki zupełnie nienaruszone.

Przychodzimy na miejsce wypadku.

Napół zasypana jama, obok niej saperska łopata i kilka okruchów żelaza, części pocisku.

Chłopaka już nie ma. Ciężko poranionego, przewieziono do pobliskiej wsi, gdzie po 4 godzinach ciężkich mąk umarł.

„Była może 3 godzina popołudniu — opowiada świadek zajścia, mieszkający w odległym o kilkadziesiąt kroków szałasie — gdy wtém, usłyszałem straszny huk, aż moja buda się zatrzęsa! Wybiegłem na ogród... począłem się rozglądać. Do uszu moich dobiegł straszny, rozdzierający jęk. Spojrzałem w to miejsce i ujrzałem tuż obok tej jamy, jakąś postać pełzającą. Poznałem Jóźka Wesołowskiego, 14-letniego sierotę ze Zwyżynia. Niedawno powrócił z baraków uchodźczych, gdzie stracił matkę. Ojciec, który przyjechał z wojska tu na urlop, umarł niedawno na tyfus plamisty. Został sam z młodszem rodzeństwem.

„Poznał mnie i skierował się do mnie. Łokciami zapierał się o ziemię, pozostałym kikutem jednej nogi odpychał się (drugą nogę urwaną przy biodrze, pęd powietrza uniósł na 40 kroków w pole) — i tak czołgał się do mnie.

„Dziadku, weźcie mnie! weźcie! — jęczał rozdzierająco.

„Panie! Ja stary już jestem i straszne rzeczy widziałem, ale to było tak straszne, że patrzeć nie mogłem i łzy mi w oczach stanęły.

„— Dziadku, weźcie mnie stąd! — jęczał Józko.

„— Gdzież ja cię wezmę biedaku? Pocoś ruszał tę biedę?!

„— Ja nie ruszał dziadku, ja nie wiedział, że ona tam leży...

„Zasypywałem jamy na swoim ogrodzie. Dwie już zasypałem, a gdy zacząłem i trzecią zasypywać i uderzyłem łopatą o ziemię — wypaliło“...

„Wzięliśmy biedaka na wóz i zawieźliśmy do Szyszkowiec. Strasznie się męczył przez cztery godziny, nim wreszcie umarł“.

Biedne dziecię polskie! W zaraniu lat rzucono cię w obczyznę na poniewierkę, skąd po kilku latach wróciłeś sierotą... na śmierć...

Pozbawiono cię wszystkiego, do czego jako dziecko, członek społeczeństwa i obywatel miałeś prawo!

Śmierć zabrała ci rodziców, nim stałeś się zdolnym do pracy. Rosłeś jak dziczka, pozbawiony wszelkich dobrodziejstw cywilizacji, którymi tak chełpi się nasz „kulturalny wiek“.

Zdrowy instynkt, ten chłopski instynkt, ukazał ci jednak drogę, jedyną drogę.

W słabą dłoń ująłeś porzuconą na polu bitwy saperską łopatkę i nią począłeś przedewszystkiem goić rany swej matki „ziemi żywicielki“. I wśród tej pracy, śmierć cię napadła, śmierć straszna, męczeńska... Padłeś „na polu chwały“, jak żołnierz-bohater na stanowisku, a śmierć twoja, dodała jeden cierń więcej do męczeńskiego wieńca, który coraz głębiej, coraz ciaśniej zaciska skroń naszej Matki-Ojczyzny.

Młoda twoja duszyczka, pomnożyła milionowy orszak dzieci polskich, od Wisły po Wilię, zmarłych śmiercią męczeńską.

Dziękująca krucyata do nieba...

Może ona uprosi wreszcie dla nas lepszą dolę: „Wolność i Zjednoczenie!!“.

Skończyłem wreszcie swój smutny obowiązek i korzystając ze sposobności pobytu, postanowiłem dokładniej niż pierwszym razem oglądnąć wieś i pomówić z ludźmi.

— Dlaczego nie postaracie się, aby pozbierano pociski?

— Donosiliśmy kilka razy, ale nikt nie przyjeżdża — odpowiadają mi.

— Tyle ich leży wszędzie, że wagonami można zbierać.

— W zgłiszczach i rumowiskach wsi, na polach i łąkach, w lasach i rzece, wszędzie ich pełno.

— My boimy się gruzy uprzętać i orać, bo wszędzie śmierć na nas czyha.

— O! niech pan popatrzy.

Prowadzą mnie opodal na rolę. Wśród oraniny, leży szrapnel wielkości małej głowy cukru.

Ten przynajmniej widoczny. Tuż obok niego jednak, leży drugi taki sam, jednak wciśnięty na długość w ziemię i tak barwą do ziemi podobny, że trudno go wśród niej rozpoznać. To też za cud uważa to mój przewodnik, że przy oraniu, spostrzegł go w porę i w ostatniej chwili skierował pług na bok.

Zatrzymuję się przy wymienionym wyżej szafasie. Prymitywny on, jakby stawiany przed setkami lat. Widać po nim, że stawiała go niewprawna ręka z przypadkowego materiału, a jedynym narzędziem budowniczym, była siekiera.

Ale właściciel jego to magnat wobec innych!

Ma przynajmniej dach nad głową i światło.



...a oni wciąż trwają...

Inni i tego nie mają. Siedziby ich porznięte rowami, zryte pociskami, odrutowane we wszelkich kierunkach, ani mowy, by na nich na nowo pobudować się mogli. Mieszkają więc w jamach...

Na dworze przed chatą, suszą się na płachcie jakieś liście. Przypatruję się bliżej. To pokrzywa.

Przyszły mi na myśl owe do niedawna wszędzie spotykane nawoływania do zbierania pokrzywy. Czyżby aż tu one trafiły?

— Na co to zbieracie? — pytam.

— Na co? Na jedzenie!...

— Pokrzywę jecie?

— A tak panie. Pokrzywę, liście kartofli, buraków, ale na te ostatnie nie każdy może sobie pozwolić.

— A chleba, mąki i kartofli nie macie? — pytam.

— My miesiącami chleba nie widzieliśmy. Kiedyś, kupiliśmy sobie trochę mąki, ale po drodze, gdy wieźliśmy, zabrano nam ją. Powiedzieli, że to nie wolno. Kupić nie wolno, dostać skąd inąd nie można, pola nasze zniszczone i nieobsiane, to coś chłop ma robić? Musi jeść pokrzywę!

Głucho i twardo padały słowa z ust chłopskich.

Na mnie robiły one wrażenie odgłosu grud ziemi o trumnę...

— I mleka nie mamy; dzieci nam mrą z głodu — odzywa się za mną drżący głos. Obracam się, to mówi owa młoda staruszka.

— Wy macie dzieci?

— Mam, panie i jedno przy piersi, ale pokarm mi wyszedł.

Spojrzałem na otaczające mnie postacie i głos zamarł mi na ustach.

Słowa pociechy i rady wydały mi się jakby szyderstwem z ich nędznej doli.

Wszak tyle razy już pocieszałem ich, obiecywałem pomoc, budziłem w nich nadzieję...

Tygodnie, miesiące minęły... a oni wciąż... jedzą pokrzywę...

W milczeniu poszedłem dalej.

Droga niełatwa. Wszak to pole najżartowszych walk, które we wschodniej Galicyi się toczyły.

Wedle opowiadania znawców i naocznych świadków, dorównywały one tu na odcinku Zwyżń-Batków, walkom na zachodnim froncie.

Miejscami tylko, napotyka się gruzы domostw, zresztą zaś, to jeden chaos pali, drutu kolczastego, wilczych dołów, kozłów i tych strasznych jam, bądź to wygryzionych potwor-nymi pociskami, bądź rytych ręką ludzką.

Jak strasznie silne były tu wstrząśnienia ziemi, niech poświadczы jeden fakt.

Na małym wzniesieniu ziemnym, stoją resztki figury. Tuż obok tego wzniesienia, była przed wojną studnia.

Zwykła ziemna studnia, o otworze ogrodzonym deskami.

Studnia ta jeszcze teraz istnieje, odległość jednak między nią a figurą wynosi obecnie przynajmniej dwadzieścia kroków!

Rzecz najciekawsza jednak, że niema między niemi żadnego śladu np. pęknięcia terenu, któryby to oddalenie się tłumaczył.

Tylko ziemia jest nierówna, jakby wzruszona.

Po kilkunastu minutach, stajemy przed lejem minowym.

Widziałem już poprzednio dwa, nie mogą się one jednak z nim równać.

Głębokość przynajmniej pięciu piąter. W głowie mąci się przy spojrzeniu w dół. Średnica wynosi najmniej 200 kroków. Ściany zwężają się dołem, a na samym dole sa-

dzawka. Zdaje mi się, że to nie jest zbiorowisko wody deszczowej, lecz że pęknięcie ziemi dosięgło do żyły wodnej.

Na stoku tego leja, leży kościec ludzki. Wśród bieli kości, widać brunatne płyty, przyschniętego ciała.

Robi wrażenie, jakby zjeżdżając na grzbiecie, zatrzymał się po drodze, by nam się przypatrzeć.

Okrażamy lej i przedzieramy się dalej przez potraskany i powalony na ziemię las zasieków. Niełatwa to przeprawa. Pasma drutów kolczastych wiją się we wszystkich kierunkach i ustawicznie swymi kolcami chwytają nas, jakby zazdrosne o swą tajemnicę, powstrzymać nas chciały.

Pałapki druciane, rozłożone na ziemi, swymi misternymi chwytami, raz po raz więżą nam stopy i trzeba się siłą od nich uwalniać. Szczęście, że już są stare i rdzą przeżarte, więc łatwo je rozerwać. Inaczej biada naszym butom!

Wreszcie stajemy na skraju urwiska. Naprzeciw, o kilka kroków, okazuje się naszym oczom ziemianka.

Podobna ona setkom innych, które widzieliśmy, tylko że... nie pusta.

U wejścia jej leży trup rosyjskiego oficera w postawie, jakby je chciał sobą zagrozić.

Jedna noga wyprężona, druga zgięta, aż prostopadle do osi ciała. Leży na wznak, z twarzą przykrytą jakąś płachtą, z latarką elektryczną na piersi.

Buty wysokie do kolan, o małej, zgrabnej stopie, szafirowe spodnie, ściśle przylegające, każą przypuszczać, że dbał on o swą powierzchowność.

Ciekawe, w jaki sposób stracił on życie. Wątpię by od kuli karabinowej lub odłamka szrapnela, gdyż przed nimi chronił go teren.

Najprawdopodobniej, ofiara to ataku gazowego.

Naprowadza mnie na tę myśl opowiadanie towarzyszących mi chłopów, że do tej ziemianki wejść nie można, z powodu strasznego odoru.

Idziemy dalej. Pole zasieków już się skończyło, a przed nami rozlega się dość obszerna płaszczyna, lekko sfalowana, z lasem w dali naprzeciwko.

Las ten, to pozycje wojsk austriackich.

„Ot! tu cała szwarma“ — mówi chłop obok mnie idący i palcem wskazuje w bok przed siebie.

Patrzę w tym kierunku, lecz z początku nic rozeznąć nie mogę.

Wzrok mój wreszcie, zatrzymuje się na lekkim sfalowaniu ziemi, tworzącym jakby naturalny wał.

W poprzek linii tegoż, widać w regularnych odstępach, jakby ciemniejsze pręgi.

Przystępuję do nich i nachylam się.

Istotnie, leży tam cała linia tyralierska...

Leży, jak ją śmierć wśród boju zdławiła...

Mundury ich kurzem i perzem przysypane, zlały się barwą z ziemią wśród której leżą. I soki ciała wsiąkły w ziemię, więc wzniesienie ciał nad nią niewielkie.

Dokładnie jednak można rozpoznać zarysy postaci. A więc nogi i część tułowia wtulone w ziemię i grzbiet na łokciach lekko do strzelania podniesiony i głowę wciągniętą w ramiona i wpatrzoną w ten straszny, ciemny las, skąd do nich szły ból, męka i śmierć...

Jeden, dwa, pięć, ośm, jedenaście... przestaję liczyć...

Czy znacie „Taniec szkieletów“ Holbeina?

Fantazja malarska je stworzyła, a ludzkość przyjęła to dzieło, jako mistyczny symbol okropności, jaką budzi sprzeczność między życiem a zagadką śmierci.

Czyście się zastanawiali na czym polega istota ich wrażenia?

Widok świeżo zmarłej osoby, budzi żal za zgasłym życiem, podobny żalowi za co do-

piero przebrzmiała nutą pięknej pieśni, za zgasłem światłem promienia słonecznego. Życie uszło, ton przebrzmiały, zgasło światło... zbyt bliskie są nam jeszcze, by świadomość nasza doszła do pojęcia istoty przemiany.

Widok trupa w rozkładzie, budzi przede wszystkim odrazę i samolubny lęk przed własną koniecznością.

Dopiero widok szkieletu, przenosi nas w krainę pojęć o śmierci, a z niemi, w myśl tradycyjnego dziedzictwa zwyczajów, rodzi przeświadczenie, iż szkielet powinien spoczywać w ziemi, w postawie bezwładu.

Jeśli więc każe się im opuścić to właściwe wedle naszych pojęć miejsce i wykonywać ruchy, do których nasz rozum im prawa odmawia, to widok ten, musi nas przenieść w mistyczne zaświaty, gdzie fantazyja kłóci się z rozumem, a lęk przed czymś niepojętym, burzy równowagę ducha i panowanie nad sobą.

Dlatego też widok tych kości, trwających w bojowej postawie, z nogami w ziemię wtulonemi, grzbietem na łokciach wzniesionym, z wciśniętą w ramiona czaszką, gdzieś pokryta resztką, fantazyjnie, na bakier zasadzonej czapki, z oczodołami wpitymi w ten trupi, bo do cna zestrzelany i jak on cichy las, dreszczem mnie przejmował...

Fala wojny już drugi rok temu przeszła nad nimi i o dziesiątki mil dalej, przerodziła się w anarchię mordów.

Lipcowe skwary i styczniowe mrozy pieściły ich i kęsały, już dwukrotnie naprzemian.

Przebrzmiały huki pękających pocisków, łomot granatów, gwizd kul i krzyki i jęki towarzyszków i wrogów. I las naprzeciw opustoszał i tylko gorący oddech więzionego latem ciepła, lub ostry poświsł mroźnego wichru w zimie, szle im on od siebie... a oni wciąż trwają...

Kupki amunicji karabinowej koło każdego z nich leżą i mimowoli przychodzi na myśl, czy się nie wyciągnie po nie jakaś koścista dłoń...

Z wysiłkiem oderwałem wzrok od nich i spojrzałem wokół siebie.

Stała gromada chłopów, kobiet i dzieci i wszyscy w milczeniu i jakby w hypnozie spoglądali na upiorny ów szereg...

O czym myśleli?

Nietrudno odgadnąć...

Skończyliśmy zwiedzanie i wracamy.

U wejścia do wsi zwiększyła się nasza gromada.

Przybyli chłopci z okolicznych wsi.

Wszak prawda! Dziś przyjeżdżają ministrowie i wedle programu, mają zwiedzać także Zwyżni!

„Przeczytajcie panie, czy dobrze napisane“ — podaje mi jeden z nich papier.

To memoriał do ministrów.

Udaję że czytam, lecz myślę sobie:

Na co wam memoriały biedacy! Te gruzy waszych chat, ta poszarpana ziemia, te bruzdy, któremi nędza i głód poryły wasze twarze, to najlepszy memoriał, jakiemu żaden najgenialniej napisany utwór nie dorówna!

Jeśli on nie pomoże... to swoim możecie podpalić pod garnkiem, w którym się gotuje wasza „życiodajna“ pokrzywa...

„Bardzo dobrze napisane. Tylko musicie to sami wręczyć“.

Pojaśniały im twarze, jakby duch w nie wstąpił.

„Może przecież będzie naszej biedzie koniec, bo już dalej trudno wytrzymać. Tylko czy przyjadą?“

„Było postanowione że przyjadą i przecież kazano wam tu się zgromadzić“.

„Czekajcie więc cierpliwie, a gdy się zjawią, to śmiało i otwarcie powiedzcie im wszystko co was boli i czego wam brak“.

Pożegnałem ich i odjechaliśmy z moim towarzyszem, który dał mi się skusić na tę wycieczkę.

Oglądałem się. Wdali szarzał na drodze szereg postaci, nieruchomych... w oczekiwaniu...

Mimowoli przyszedł mi na myśl tamten na górze... Ci ludzie trwają, czy tylko z innym skutkiem?...

„O czym myślisz?“ — budzę z zamyślenia mego towarzysza, lwowskiego „literata“.

„Wiesz“ — odpowiada — „jabym ten lej, który widzieliśmy, dołączył do piekła Dantego, jako ostatni krąg, jeszcze pod Judaszem.“

Napełniłbym go krwią ofiar tej wojny i umieścił w nim tego, który ją wywołał. Kazałbym mu się pławić w tej krwi, a za napój dałbym mu wodę łez wdów i sierót...“

„Niezły pomysł, mój drogi! Możesz go dać opatentować, tylko w piekle... bo tu...“

Ale dość już. Czas skończyć, gdyż i tak, zdaje mi się, że za wiele napisałem...

Na zakończenie dodam tylko, że jak dowiedzieliśmy się po powrocie, projekt objazdu ministrów uległ zmianie, z powodu braku czasu.

Zwyznia nie zwiedzili...

Podkamień koło Brodów, we wrześniu.

Z KRAINY WOJNY, OGNIĄ, GŁODU I POWIETRZA...



rzecudną nocą sierpniową wracałem do domu.

Księżyc był w pełni, a na niebie, prócz nikłych, białych obłoczków, ani jednej chmurki. Światło więc księżyca, bez żadnych przeszkód i przerw zalewało przestworza, zwycięsko noc zwalczając.

I tylko widocznie uległo niepoprawnie staremu nałogowi marzyciela poety, gdy ubrało ziemię w jakiś mistyczny koloryt, zacierając brzydotę i trywialność, a wydobywając na jaw piękności, którychby się we dnie nikt nie domyślił.

W takim oświeceniu, nabrała jakiegoś nieokreślonego wdzięku, nawet ta mała „za światem“ leżąca mieścina, która nigdy nie miała pretensyi do piękna, a w czasie wojny tak strasznie została zniszczona, że czyniła wrażenie trupa w rozkładzie.

Urok owej nocy letniej, przepojonej światłem i zapachami ziemi i roślinności po upalnym dniu sprawił, że wróciwszy do domu, usiadłem przy oknie, aby dalej nasycać się jej pięknem.

Wkrótce też popadłem w ten błogi stan spokoju, w którym dusza dostraja się do otaczającej przyrody, a myśl oderwana od zagadnień codziennego życia, swobodnie i lotnie buja, jak motyl „z kwiatu na kwiat“, omijając ciernie i błotne trzęsawiska...

Z tego prawie somnambulicznego stanu, zbudziły mnie dalekie odgłosy.

Wsluchalem się w ciszę... Jakaś mazyka gra...

Coraz bliżej... coraz wyraźniej ją słyszeć...

Wkrótce już całkiem wyraźnie rozbrzmiewa.

Jakieś niesforne tony, niestrojnych i niedostrojonych do siebie instrumentów, to cichną, jakby tchu im brakło, to znowu wybuchają z żywiołową siłą, jakby chciały wzajemnie przekrzyczeć siebie.

Lecz mimo tych braków, pojedyncze tony zlewają się w jedną melodyę, urągającą wprawdzie wymaganiom harmonii, ale może właśnie dlatego tem lepiej odtwarzającą dany nastrój...

Dzika to melodia i dobrze mi znana!

Właśnie przed laty czterema przynieśli ją tu z sobą dzikie syny z nad Donu, czy Kubania, a że przez tyleż lat, z małą tylko przerwą tu rozbrzmiewała, więc nie dziw, że przypadło jej ostatecznie w udziale prawo obywatelstwa, nieuszczuplone nawet wówczas, gdy już pionierów jej nie stało.

Utkwiłem wzrok w drogę, skąd płynęły osobliwe dźwięki i wkrótce ukazały mi się majaczące w oddali postacie...

Na czele szła kapela... dwoje skrzypek, klarnet i bęben.

Grajkowie, widocznie własną muzyką, a pewnie i czemś innem upojeni, nie szczędzili ani sił własnych, ani instrumentów.

Ręce zamasyżście krajały smyczkami, aż w takt ich ruchów poszły i ciała. Klarne-cista, z narażeniem na pęknięcie swych policzków lub klarnetu, dął z takim przejęciem się, że głos instrumentu przechodził nieraz w gwizd ostry, którego nie powstydziałaby się nawet

lokomotywa. Bębniści wreszcie, walił w biedną skórę z zaciekłością co najmniej... pruskiego pedadoga Wielkopolskiej dziatwy...

A za tą „kapelą“ kroczyło może 20 męskich postaci.

Szli kupą bezładną, ująwszy się po dwu lub trzech za szyję, ramiona, biodra.

A droga choć dość szeroka, dla nich przecież była śnać za wąska, gdyż coraz to któryś z nich otarł się o ścianę przydrożnego szkarpu, aby odbiwszy się, wkrótce znaleźć miejsce po przeciwnej stronie.

Dostrojona do ich usposobienia muzyka, widocznie działała na uczestników pochodu, gdyż coraz to w nią wpadali, bądź chórem bądź pojedynczo wtórując melodyi, niestety... z większym zapalem, niż poczuciem harmonii...

Czasem znów, ten lub ów, o nerwach przedrażnionych do ostatnich granic, dawał upust ich napięciu, rozdzierając powietrze niehumanym wyciem, lub opanowując chwilowo chwiejność swych kroków, puszczał się w dziki tan...

Światło księżyca tak wyraźnie ich oświecało, że mogłem dokładnie widzieć i rozpoznać ich postacie. Wszyscy byli kompletnie pijani, u granic tego stanu, w którym z największego pobudzenia alkoholem, przechodzi się w martwość do paraliżu podobną.

Niektórych osobiście znałem, a prawie wszystkich z widzenia.

To tutejsi mieszczańscy synowie, przeważnie z zacnych i zamożnych rodzin, a żaden z nich nie miał powyżej lat szesnastu, wielu nawet młodszych było!...

Minął moje okno ten wstrętny korowód, zwolna przycichały dźwięki kapeli i pijackie głosy i znów cisza zaległa przestworze rozświetlone mistycznym światłem księżyca...

Lecz czar już prysnął, a z nim „myśli motyle“ uleciały w dal...

Smutno i ciężko zrobiło mi się na duszy...

Rzeczywistość, ta straszna, tragiczna rzeczywistość, stanęła mi przed oczyma... Odszedłem od okna.

...
Gdy tytaniczne wstrząsy, które świat przechodzi, już miną, a stosunki między państwami i narodami ułożą się wreszcie, sięgnie dłoń historyka i do źródeł ukrytych jeszcze przed okiem teraźniejszości, albo przez nią zlekceważonych. Dopiero z nich czerpiąc, zdoła on stworzyć dokładny obraz wiekopomnej wojny.

Temu celowi także niniejszy mój szkic ma służyć. Oparty na bezpośredniej obserwacji, wiernie reprodukuje stosunki, jakie wytworzyły się u nas czasu wojny.

Urzędnicza dola zapędziła mnie do tej miejsciny, leżącej na wschodniej granicy Galicji. Kilka lat w niej spędziłem, a prawdę mówiąc, nie mogę zaliczyć ich do najprzyjemniejszych. Różne składały się na to przyczyny. Odległość kilku mil od kolei, brak tych wytworów kultury, które dla cywilizowanego człowieka stają się koniecznością i praca wśród ciężkich warunków, zarówno zewnętrznych jak wewnętrznych. Lecz co najbardziej może działało, to apatya umysłowa i kulturalna, rozpościerająca się bez przeszkód nad całym miastem i okolicą. Zdawały się one żyć życiem z przed stu laty i nie tylko, że nie było widać usiłowań wyrwania się z pod złego zaklęcia, lecz owszem, wyraźnie przebiła się niechęć do wszystkiego, co spłoszyłoby mogło ten błogi sen katalepsy umysłowej.

Założone trudem i dobrą wolą jednostek postępowe instytucje, czy to z zakresu oświaty czy gospodarstwa, od razu wiodły żywot suchotniczy, obumierając wkrótce doszczętnie.

Widoczne było, że gleba tu od wieków nietknięta. Więc nie dziw, że na niewzruszonej ziemi, nie chciało się przyjąć żadne ziarno. Nie brakło też innych przyczyn, które pod płaszczykiem najświętszych haseł, zatruwały umysły i dusze ludzkie i czyniły je niezdolnymi do przyjęcia zdrowego pokarmu.

Tak było do wybuchu wojny.

Ta, wyrwała ludzi z martwości ducha i wprowadziła w stan gorączkowego podniecenia.



Z A R A Z A

Początkowo, jak zresztą wszędzie, opanowało wszystkich istne delirium zapału.

Każdy widział w tej wojnie jedyny środek do ulżenia swej biedzie i troskom codziennego życia, a choć nikt nie potrafiłby być odpowiedzieć, dlaczego, to jednak zapewniał siebie i drugich, że „teraz będzie lepiej“.

A gdy w dodatku, szumne odezwy urzędowe zapewniały, że wojna ta ma najświętsze i najidealniejsze cele, to nie dziwota, że tłum pozbawiony krytycyzmu, dał się im porwać i za największe nieszczęście uważałby, gdyby w ostatniej jeszcze chwili zażegnano to straszne widmo.

Rozpoczęły się manifestacje, obnoszenie portretów obydwu cesarzów przy dźwiękach muzyki, wygłaszanie mów, z których czarnożółty patryotyzm aż kapał, okrzyki na cześć różnych wielkości ówczesnych i t. d.

Ekstaza dosięgła tego stopnia, że wnoszono nawet okrzyki: „Niech żyje wojna!..

Niedługo jednak trwał ów stan podniecenia.

Nawet w pierwotne przeważnie umysły, zaczęło się wkradać powątpiewanie, czy istotnie „teraz będzie“, a bliskość granicy, działała również ostudzająco na zapał.

Pierwsze zaniepokojenie dało się zauważyć, gdy już po ogłoszeniu mobilizacji, jeszcze przed wypowiedzeniem wojny, inteligencja miasteczka i okoliczne obywatelstwo, z rzadką przedtem solidarnością, uważały za stosowne opuścić swoje siedziby tu i ówdzie z takim pospiechem, że nie zabrano z sobą nawet najpotrzebniejszych rzeczy.

Gdy zaś wkrótce rozpoczęły się pierwsze utarczki, nieraz tuż pod rogatkami miasta, zaniepokojenie przybrało cechy popłochu, a miejsce entuzjazmu, zajęła depressja.

Tak doczekaliśmy się dnia 22. sierpnia 1914, kiedy to armia rosyjska pod wodzą generała Iwanowa, wkroczyła do miasta. Zaraz na wstępie zostałem aresztowany. Nie było to przyjemne, miało jednak tę dobrą stronę, że zetknąłem się z naczelnymi osobami armii rosyjskiej i mogłem pracować dla celu, dla którego pozostałem na miejscu. Gdy więc zjawił się u mnie pułkownik 1. uralskiego pułku kozaków Borodin (cudowny starzec z długą po pas brodą) i zapytał, czy mam jakie życzenie, poprosiłem go o opiekę nad mieszkańcami, zapewniając o ich spokojnem usposobieniu. Sprawilo to na nim dobre wrażenie. Przy aresztowaniu, dość szorstko ze mną się obszedł, nawet zagroził szubienicą; teraz odrazu zmienił swą postawę i nie tylko przyrzekł mi o co prosiłem, lecz, jak się potem przekonałem, przyrzeczenia swego dotrzymał.

Wkrótce mnie też uwolniono.

Miasto nasze miało z początku istotnie szczęście, gdyż pierwszymi komendantami byli ludzie zacni, z sercem. Łatwo też można było do nich trafić i to wcale nie „złotą drogą“.

Zaprowadziliśmy tedy straż bezpieczeństwa, uregulowaliśmy dowóz żywności z Rossyi, a nawet ustaliliśmy kurs rubla na 2 kor. 50 hal.

Gdy wokoło płonęły miasteczka i „hulała“ dzicz z nad Wołgi i Donu, u nas spokojnie było i bezpiecznie, gdyż rozlepiane w mieście odezwy i przekazane komendantom oddziałów ustne pouczenia dla wojska, groziły karą śmierci za targnięcie się na osobę lub mienie mieszkańców.

Niedługo jednak trwał mój pobyt w miasteczku, mimo tak dobrze zapowiadających się stosunków. Wbrew zupełnej zgodności z władzami rosyjskimi na innych polach, popadłem z nimi w konflikt w sprawie urzędowania, a gdy ze stanowiska, które uważałem za jedynie słuszne i godziwe, nie chciałem ustąpić, groziło mi ponowne aresztowanie i wywiezienie.

W czas przestrzeżony o tem, z pomocą dobrych ludzi, zdołałem uciec do Lwowa, gdzie też — z przerwami — przebywałem aż do powrotu.

Ten nastąpił w czerwcu 1918, a więc prawie po czterech latach niebytności.

Z ciekawością wracałem, a ciekawość tę zaostrzały różne wiadomości, które przyj-

mowałem z niedowierzaniem, kładąc je na karb zwykłej ludzkiej przesady i powszechnego już wówczas pesymizmu.

Wkrótce jednak przekonałem się niestety, że nie tylko były prawdziwe, lecz że nawet w połowie nie odpowiadały rzeczywistemu stanowi rzeczy.

Już od początku drogi kołowej z Brodów, uderzyło mnie zniszczenie i pustka. Gdzież te lasy dorodne, ocieniające drogę, które dość martwy krajobraz ożywiały i zdobiły?

Znikły z powierzchni, lecz... czuło się je pod sobą aż nadto wyraźnie!

Cała droga wyłożona krąglakami, a że niektóre z nich zmurszały, wiele zaś znikło bez śladu, więc też jazda po nich była czymś naksztalt jazdy... na maglu. Po bokach drogi sterczały wysokie, przynajmniej na metr pnienie, a wśród nich gdzieś wystrzelało w górę drzewko, które tylko dzięki swej młodości unikło zagłady.

Miejsce dawnych łąnów zbóż, zajęły niezmierzone łąny... burzanów i maków. Rzecz szczególna, skąd się wzięły maki w takiej ilości? Aż w oczy biła ich czerwoność.

Wśród nich zaś, ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem okopy i zasieki...

I tak mijała mila za milą, aż wreszcie dojechaliśmy do miasta.

Jak poprzednio wspomniałem, nie miało ono pretensji do piękności i tak zarówno architektonicznie, jak pod względem porządku, zajmowało pewnie jedno z miejsc ostatnich w Galicyi.

To jednak, co ujrzałem, było niespodzianką nawet dla mnie!

Ruina, zgliszcza i brud...

Wszędzie sterczały nagie, bez drzwi i okien mury, kupy gruzów, zwęglone tramy drzew, a wśród nich śmiecie, na które się składały wszystkie chyba lata wojny. Więc blaszanki z konserw, pudełka, przegniłe resztki ubrań i obuwia, zabłocone strzępy opatrunków, kości najrozmaitszych rozmiarów, a to od doskonale spreparowanych czaszek końskich czy wolich, aż do drobnych kosteczek może szczurów i łasic.

Cały rynek, jak szeroki i długi, wszystkie ulice i drogi, były pełne tych odpadków, a idąc, niesposób było ich wyminąć.

„Zwiedziłem różne kraje, widziałem złe i dobre obyczaje“, ale na coś podobnego nie byłem przygotowany.

Już na wstępie zatem, miałem przedsmak tamtejszych stosunków. Wkrótce też przekonałem się, że tak w mieście jak i w okolicy, wytworzył się stan pod każdym względem tak wyjątkowo straszny i groźny, iż należy przystąpić do natychmiastowej pracy, jeśli ma się zapobiedz grożącej katastrofie.

Głód i zaraza, te ohydne pomioty wojny, szczyrzyły już zęby...

Wkrótce zawiązał się komitet ratunkowy dla tamtejszego powiatu sądowego, więc wzięliśmy się do dzieła.

Przedewszystkiem, należało jednak zbadać dokładnie stosunki i ustalić o ile możności stan, w jakim znajdował się powiat pod względem gospodarczym i zdrowotnym.

Tablica, którą zamieszczam, a która sporządzona została na podstawie własnych spostrzeżeń, materiałów władz, wreszcie informacji wiarogodnych ludzi, daje dokładny obraz tego stanu, a każdy przyzna, że nawet najbardziej zahartowanych i otrząskanych z okropnościami wojny, mróz przejść musi po kościach, gdy się ją przeczyta.

Okolice Podkamień a w niej i powiat sądowy, zostały w lutym 1918 uwolnione od rosyjskiej inwazyi. Zarząd powiatu objęła komenda wojskowa z siedzibą w Złoczowie i dopiero w maju zdała go władzom cywilnym.

Na czem zasadzał się jednak ten zarząd wojskowy, jest dla mnie do dzisiejszego dnia zagadką, gdyż mimo skrzętnych poszukiwań i badań, nie zdołałem odnaleźć ani jednego zarządzenia, któreby chociaż pośrednio miało styczność z „zarządzaniem“.

Najkrytyczniejsze miesiące, t. j. czas zasiewów, minęły bez żadnej, najmniejszej akcyi w tym kierunku.

Równocześnie jednak, wydano nakaz odesłania tubylczej ludności z baraków uchodźczych. Na zniszczone siedziby, od początku wojny przeważnie ugiorem leżące, spłynęła lawina ludzi, ogołoconych zupełnie z mienia, wynędzniałych z głodu i zdemoralizowanych anormalnymi w ciągu lat ostatnich kilku warunkami życia.

Oczekiwać należało, że przynajmniej teraz będą wydawane jakieś zarządzenia i chociaż nie usuną one może w zupełności złego, lecz przynajmniej je złagodzą i pozwolą ludności przetrwać najgorsze chwile, nim wreszcie znajdzie się środki do wprowadzenia życia kolejno na normalne tory.

Ale i to nie!

Z całą stanowczością twierdzę, że zarząd wojskowy, czy to wskutek zbrodniczego lekceważenia obowiązków, czy też wskutek niedołęstwa, do idiotyzmu posuniętego, zaniedbał wszystkiego, co mógł jeszcze dobrego uczynić.

Zarząd cywilny zatem, który po nim nastąpił, objął powiat w stanie zupełnego opuszczenia i to w czasie, w którym pod względem gospodarczym na miejscu, nie można było już niczego uczynić.

Po odejściu Rossyan, pozostało dość żywności i innych artykułów, tak, że mogły one stanowić źródło ratunku dla powracających uchodźców. Cóż, kiedy władze wojskowe tak austriackie jak i niemieckie, z taką zaciekłością i bezwzględnością przeprowadziły rekwizycję, że wkrótce też nawet pozostała i dobrze zaopatrzona przedtem ludność, znalazła się prawie w tem samym położeniu, co powracający uchodźcy.

A jednak — twierdzę — i wtedy i znacznie później także, można było jeszcze złemu, choć w części zaradzić i nie dopuścić do tego stanu beznadziejnego, w jakim przy końcu mego pobytu, t. j. z końcem października 1918 znalazł się ten szmat kraju, a także okolica. Nie brakło środków do ratunku, gdyby ich tylko umiejętnie użyto!

Tymczasem akcyę oddano nie czynnikom miejscowym, cieszącym się zaufaniem, lecz w ręce osławionego biurokratycznego „szlendryanu“, który ani sam sobie rady dać z nią nie mógł, ani też nikogo nie chciał dopuścić do wspólnej pracy.

Z drugiej strony równocześnie, świadomie puszczano płazem wprost zbrodnicze machinacje, które biednego uchodźcę zdartego do koszu, bezkarnie łupiły ze skóry!

Słowem, pod egidą rządu panował bandytyzm, tylko że... z tamtego końca...

Że to nie frazes, ani kamień złośliwie rzucony na trumnę austriackiego państwa i jego systemu, nie trudno mi przyjdzie udowodnić.

Komitet ratunkowy, o którym wyżej wspomniano, pracą swą objął cztery główne postulaty: 1. Zaopatrzenie ludności w żywność i zboże na zasiew; 2. Odbudowę domów i gospodarstw; 3. Stosunki zdrowotne; 4. Szkolnictwo. Że pierwszy był najtrudniejszy, o tem wszyscy wiemy; twierdzę wszakże raz jeszcze jak najbardziej stanowczo, że można było rozwiązać go ku zadowoleniu ludności.

Powiat nasz leży na samej granicy, a za nią dość było środków, by u nas zaradzić złemu. Należało tylko wziąć się do tego mądrze i — uczciwie. Przez szereg miesięcy mego pobytu, dzień w dzień widziałem dziesiątki i setki, przejeżdżających ze wschodu, wozów nalożonych zbożem i mąką. Prawie wszystkie jednak były na usługach... paskarskiego handlu! A handel ten odbywał się z wiedzą rządu i pod jego protektoratem, co więcej, z pomocą wojskowości i żandarmeryi! Dla nikogo nie było tajemnicą, że komendant batalionu załogującego początkowo w Podkamieniu, a potem w Zbarażu (czeski Niemiec), wystawiał tamtejszym handlarzom poświadczenia, wedle którego, zakupione przez nich zboże i mąka miały jakoby służyć celom wojskowym. Użyczał im też asysty wojskowej, za opłatą po 100 koron czy też złotych. Uzyskane tym sposobem zapasy, sprzedawali oni potem spekulacyjnie,

po lichwiarskich cenach, wyśrubowując cenę 1 kg. mąki żytniej w Podamieniu, nawet w czasie żniw, do 14 koron.

Równocześnie zaś, odbywał się handel wywozowy z Galicyi nafty, terpentyny, świec i zapalek.

I znowu dzień w dzień, dziesiątki, często nawet więcej niż sto wozów towarowych z tymi artykułami, przejeżdżało przez Podkamień na wschód. W następstwie, litr nafty kosztował u nas 14—18 koron i to nafty najgorszej, brunatno-czerwonej, pryskającej i dającej więcej kopciu niż światła!

Mała świeczka kosztowała 3 kor., a pudełko zapalek 60 hal. A ileż razy mimo wszystko, brakło tych artykułów! W jesieni n. p. zdarzało się od czasu do czasu, że sąd mimo nawału pracy, nie mógł po południu urzędować z braku światła!...

Nadmienić zaś trzeba, że wszystkie te transporty pochodziły z central i miały przeznaczenie „dla potrzeb miasta Podkamienia...”

Mój Boże! Gdyby ta miejscina zamiast 4.000 mieszkańców, miała ich 400.000 i gdyby krociowe to miasto, codziennie w podzięce i na cześć opiekuńczego rządu, urządzało iluminacye, to jeszcze byłoby za wiele!

A sąd — spytacie i słusznie! Otóż właśnie w tem rzecz, że sąd tu nic nie miał do mówienia, gdyż... go nie dopuszczono do głosu...

Wkrótce, spostrzegłszy te manipulacye, zażądałem od żandarmeryi zbadania sprawy i doniesienia o stanie rzeczy. Na to otrzymałem odpowiedź, iż żandarmerya ma za wiele zajęcia ze sprawami „politycznymi“ (sic!) i wojskowemi, by zajmować się czem innem jeszcze.

Gdy mimo tego nie ustąpiłem, grożąc udaniem się do przełożonej władzy, odpowiadano mi, że... po najskrupulatniejszych badaniach, nie wykryto żadnej karygodnej manipulacji. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że trakt, którym tak w jednym, jak w drugim kierunku przejeżdżały owe wozy, prowadził pod same okna komendy posterunku!

Aż wreszcie przypadek pozwolił mi przychwycić jeden taki transport!... Uchwyciłem za nić Ariadny... i pozostałem nadal w tym labiryncie oszustw i przekupstwa...

W godzinę może po przychwyceniu transportu nafty, sprzedanego kupcom rossyjskim i przez nich wywożonego bez zezwolenia, zjawia się u mnie zastępca komendanta posterunku żandarmeryi, proponując z najzimniejszą krwią, że owi kupcy oddadzą część towaru dla „inteligencji“ do mojej dyspozycji, jeśli pozwolę im wydać resztę.

Na moje pytanie, co go skłania do takiej propozycji odparł, że mu żal tych kupców, którzy inaczej stracą towaru na 50.000 koron...

Po dalszej rozmowie, której nie będę tu powtarzał, oświadczyłem przy końcu owemu panu, że czynię go odpowiedzialnym za prawidłowy, wedle przepisów ustawy, tok tej sprawy. Nazajutrz rano musiałem wyjechać z powodu wypadku śmierci w rodzinie, a gdym wrócił po tygodniu, dowiedziałem się, że owi kupcy cały transport szczęśliwie wywieźli...

Jak stwierdziłem następnie, stało to się na interwencyę rotmistrza, okręgowego komendanta żandarmeryi, który polecił transport wypuścić, zobowiązując owych kupców do dostarczenia pewnej ilości zboża po maksymalnej cenie, dla ewakuowanej ludności.

Dalsze badania, już nie przezemnie prowadzone, wykazały, że kupcy dostarczyli zboże po tej cenie, lecz znacznie mniej, a nadto zboże owo jeszcze w zmniejszonej ilości, żandarmi odsprzedali ludności, lecz w cenie o 90 koron wyższej od maksymalnej!

Co z resztą zboża stało się, kto zgadnie?...

Rozumie się, sprawę tę skierowałem na drogę urzędową, na której ona „sobie“ ugrzęzła, gdyż mimo upływu dwu miesięcy, ci sami „stróże ładu i bezpieczeństwa“ spokojnie tym samym trybem urzędowali.

Któżby dał mi wiarę, że przez cały czas pięciomiesięcznego urzędowania, wpłynęła do sądu jedna tylko sprawa o lichwę żywnościową? Organa bezpieczeństwa, których to obo-

wiązkiem było, milczały, a ludność steroryzowana, nie miała odwagi wystąpić do walki. Tylko młodzież mieszczańska burzyła się przeciw takiemu postępowaniu i nieraz czynnie mu przeszkadzała, wstrzymując transporty. Wówczas jednak, owi „stróże ładu i bezpieczeństwa“, zawezwani przez uciśnionych handlarzy, brali ich w obronę i nieraz zdarzyło się, że dotkliwie pobili gorących młodzieniaszków.

Ale nie zawsze dochodziło do tej interwencji.

Czasami sprawę załatwiano ugodowo. Wtedy wozy jechały sobie spokojnie na wschód, młodzi junacy zaś szli do... szynku, który wyższy ponad policyjne przepisy, dzień czy noc gościł u siebie gości z całego świata, ze wschodu i zachodu.

Bachiczny korowód, który na wstępie mego szkicu przedstawiłem, to właśnie jeden z takich epilogów sprawy...

A jednak, mimo wszystko, nie dałem jeszcze za wygraną.

Poruszywszy rzecz w licznych memoriałach do różnych władz i osób wysyłanych, nie wahając się nawet próbować niekiedy osobistej interwencji, uzyskałem na koniec, że przeprowadzono rewizję i skonfiskowano 30 beczek nafty.

Lecz i tym razem... przegrałem!

Płomień oburzenia przeleciał przez miasto! Zaroił się rynek i ulice; ukazały się jakieś z pod ciemnej gwiazdy indywidua w rosyjskich rubaszkach i kaszkietach, z wściekłością i nienawiścią wodzące za mną oczyma, a wreszcie otoczył mnie tłum rozjuszonych jak megery żydówek, wołając: „Pan nas morduje! My chcemy żyć! czego pan chce od nas!“

I nie był to tłum gminu żydowskiego; nie! To były „damy“ i „panny“, które na uchodźctwie, przeważnie na Węgrzech, przemieniły się ze zwykłych małomiejskich żydówek na elegancki, stąpające po opisanym już miastowym brudzie, w białych trzewikach, odziane w jedwabie, obwieszane złotem i brylantami...

A gmin żydowski, cierpiał tak jak chrześcijański nędzę, dawał się wyzyskiwać paskarskim pijawkom i... milczał...

Na zakończenie, gdy wracałem w nocy do domu, świsnęła mi koło ucha kula.

Sprawca, gdy go chciałem schwycić, umknął i ja nawet żadnego z tego użytku nie robiłem, gdyż w danych warunkach, sprawa była z góry przesądzona.

No, a skonfiskowana nafta?

Z wyjątkiem trzech beczek, reszta znikła bez śladu. Mimo skrzętnych badań prowadzonych przez... żandarmeryę i policję, „nie zdołano“ wyśledzić, gdzie się podziała...

Ale przynajmniej te trzy posłużyły ludności w sposobie przez prawo przepisany, więc chociaż w części, przecież o n o zwyciężyło?

Gdzietam!

Wbrew zarządzeniom władzy politycznej, nakazującej sprzedaż po maksymalnej cenie (64 h.) sprzedano dwie z nich po 8 kor. za litr, gdyż... kupcy za wieleby stracili...

A trzecia? Jak zwykle, każda „trzecia“ była najgorsza i w treści i w skutkach. Przedewszystkiem w przechowaniu u władzy bezpieczeństwa, „wyparowała“ do $\frac{1}{3}$ ilości, a przeznaczona dla użytku wszystkich urzędów i członków konsumu, wzniciła jasny płomień... nie w lampach niestety...

Ale skończmy już z aprowizacją.

Otóż wszelkie usiłowania korzystnego rozwiązania sprawy, nie doprowadziły do żadnego rezultatu.

Skończyło się na tem, że za pośrednictwem władzy politycznej, sprzedawano (pomoc bezpłatna była tak minimalna, że wzmianki niewarta) chłopom mąkę w cenie po 6 K za 1 kg., gdy jednak dostarczona ilość nie wystarczała, musiał sobie chłop radzić własnym przemysłem.

O ile zatem nie udało mu się dostać, czy kupić mąki lub zboża za granicą, jadł

nać kartoflaną, pokrzywę, a czasem (ale takich szczęśliwców niewielu było) liście buraczane... A gdy mu już bardzo źle było, ratował go... tyfus głodowy lub plamisty...

Nie dowcip to bynajmniej, a jeśli śmiech, to chyba „krwawy“...

Wierzcie mi, że w tej doli chłopca, w jakiej ja go tam widziałem, śmierć wybawieniem była dla niego!

Jesiennym rankiem wyjechałem do wsi P. Słyszając o bezgranicznej nędzy tam panującej i chorobach szerzących się w straszny sposób, postanowiłem naocznie rzeczy zbadać. Droga niedaleka była; w tej porze jednak jesiennych deszczów, wydawała się bez końca.

W czasie tym właśnie, lub trochę później może, ukazał się w jednym z dzienników lwowskich numer poświęcony „Polskiej jesieni“. Rzadko zdarzało mi się czytać rzecz poetycką bardziej udatną. Nie miejsce tu dociekać dlaczego, lecz niejednokrotnie przychodziło mi na myśl, że ta pora roku, jest przez naszą poezję szczególnie uprzywilejowaną, przynajmniej pod względem jakościowym.

Szkoda jednak, że w mojej wycieczce, nie towarzyszył mi jeden z poetów jesieni. Zobaczyłby oczyma ciała może więcej, niż oczyma duszy widział, a poezji przybyłby obraz jesieni, jaką ona jest istotnie, w tym przeklętym chyba przez Boga kraju!

Beznadziejny krajobraz... Jak okiem sięgnąć, ciągnie się przestrzeń pokryta zeschniętymi badyłami traw i burzanów. Wśród nich, szczerzą się długie, nieskończone pasy okopów.

Głęboko wryte, znaczą się białymi wstęgami ziemi, narzuconej dla ochrony i zakrycia. Ta, pozbawiona darni, splukana deszczami i śniegiem, pozostawiła na wierzchu treść swą istotną, t. j. białą glinę. Ta, jak słyszałem od znawców, ma skład wprost znakomity i nadaje się do najwytworniejszych wyrobów ceramicznych.

— Znowu jedno z wielu niewyzyskanych przez nas bogactw ziemi ojczystej!

Dla skrócenia drogi i uniknięcia jazdy po oślizgłych belkach, zbaczamy na drogę polną. Polną? To chyba tylko ze zwyczaju tak się nazywa, bo... pola nigdzie tu nie widać... Ani płacchia rżowiska, któreby wskazywało, że pracowała tu ręka człowieka dla celów życia!

Tu od lat szeregu mordowano się tylko! A choć przebrzmiał zgiełk bitew i opustoszały rowy strzeleckie, to jednak można wyczytać na każdym kroku, dzieje tych niedawnych czasów.

Po bokach drogi i dalej na polach, sterczą gęsto rozsiane, jedno i dwuramiennie krzyże...

To znowu na równej płaszczyźnie, znaczą się ciemniejsze od niej, jak cyrklem wytoczzone duże jamy; to leje od granatów.

Tam znowu, widać wśród lasu starodrzewia wyciętego po barbarzyńsku, bo wyżej metra nieraz od ziemi, las na młodziku, lecz jakże beznadziejnie zniszczony! Co ręka ludzka oszczędziła, to sprawiły kule i armatnie pociski. Biedne drzewka, sterczą ku niebu bez wierzchołków, bez bocznych gałęzi, a wiele z nich strzaskanych, lub zgiętych do ziemi.

Nad tym rozpaczliwym krajobrazem, unosi się wilgotny, wprost mokry opar, z deszczów, które ziemię przesyciły i mgieł, niedalekich nadikwańskich bagien. Wstrętna to wilgoć: wszystko syci sobą i niczem zakryć się przed nią nie można! Gorsza stokroć od mrozu!

Bo mróz-morderca, zabija, lecz nie pastwi się nad ofiarą, a jeszcze przed śmiercią zsyła sen ukojenia, łagodząc nim męczarnie, oszczędzając agonii konania.

Ta zaś wilgoć, zimna, oślizła, jak sturamienny polip, zewsząd obejmuje ciała, wpija się w nie tysiącem ust, wysysa ciepło, odbiera siły i energię, lecz długo każe na śmierć czekać! Jak kat wyrafinowany, dręczy ofiarę na różne sposoby, nim ją wreszcie śmierć od tych mąk wyzwoli... Ona to sprawia, że nawet nieba, nawet chmur ołowianych nie widać na niebie! Wszystko połyka chciwie, i promień słońca, któryby może chciał te biedne rzesze

„ludzi bezdomnych“ ogrzać i rozweselić i wzrok, które one wtapiają w niebo, prosząc łaski i zmiłowania!...

Biedne koniska, ostatkiem sił wloką nas po rozmiękczonej ziemi. Grzbiety ich w pałąk zgięte, głowy nisko opuszczone, a kościska mało skóry nie przebodą.

Woźnica nasz, raczej z przyzwyczajenia niż z wiarą w skutek, śmiga je raz po raz po wychudłych bokach, lecz to widocznie zupełnie już nie działa na nie i trwają bez zmiany w swej zrezygnowanej apatii.

I tylko od czasu do czasu, zwracają głowy ku sobie, jakby wzajemnie uznać się chciały na swój „los koński“ i dodać sobie otuchy.

Przed nami ukazuje się jakaś ludzka postać.

Trudno rozeznąć jakiej płci i wieku. Otulona w jakieś nieokreślonego rodzaju i kroju szaty, idzie zwolna bokiem drogi, w odległości stu może kroków.

Chcę na nią zawołać, by przystanęła i wdać się z nią w rozmowę, gdy w tem... znika mi z przed oczu, jak jakaś zjawa wyobraźni...

Wkrótce, gdyśmy obok tego miejsca przejeżdżali, zagadka się wyjaśniła.

Nie wielki nasyp opodal drogi, a w nim czarna jama...

To ziemianka wojenna, a obecnie mieszkanie większości tych troglodytów XX. wieku!...

Wreszcie dojeżdżamy do wsi.

I znowu nazwa bez treści...

Była tu wieś kiedyś, ale jej już nie ma.

Zniknęła z powierzchni, by ustąpić miejsca jamom, w których latami człowiek na człowieka czyhał, by go zamordować... Dlaczego?... Czyż on wiedział?... A gdy wreszcie pękł ten łańcuch żelaza, którym ziemię tu skuto, żegnano z powrotem wywiezionych przedtem mieszkańców i... nie troszczono się o nich już więcej...

Materyał drzewny, który tam pozostał, dawno rozwlekli szczęśliwi sąsiedzi, a im pozostał ziemisty loch!

Niektórzy tylko, czy to przez przypadek losu uprzywilejowani, czy może trochę zasobniejsi, zdobyli się na kilka desek i z nich postawili sobie budy.

Wiecie, jak one wyglądają?

Trzy mają tylko ściany, a na górze ściel z gałęzi i mchu. Ponieważ z reguły są bardzo szczupłe, więc mają dwie kondygnacye i w ten sposób dzieje się, że w takiej małej klitce mieszka nieraz do dziesięciu osób!

Ta szczupłość miejsca ma jednak tę dobrą dla nich stronę, że im jest cieplej, gdyż się swem ciepłem wzajemnie grzeją...

O takim rodzaju powrotu do natury, nawet Rousseau chyba nie marzył!

Zaczynam zwiedzanie w towarzystwie wójta.

Dantejska to wędrówka po piekle!

Tylko, że tam cierpieli skazańcy za popełnione przez siebie zbrodnie, tu zaś niewinni, za zbrodnie drugich...

Obraz, który ujrzałem, przechodził najgorsze oczekiwania. Widziałem już przedtem te wsie zniszczone, lecz było to w lecie, nim jeszcze zaczęły się słoty i zimna.

Nędza była i wtedy ogromna, lecz odporność tych ludzi natury, w suchem powietrzu, ogrzanem słońcem, utrzymywała ich w jakim takim stanie odporności.

A choć choroby grasowały od dawna, jednak i nie w tej mierze, co obecnie i nie z takimi skutkami śmiertelności.

Obecnie, chyba jednej rodziny nie brakło, w którejby nie było słabości i to nieraz wszystkich członków rodziny.

A choroby te, to ospa, tyfus plamisty i głodowy i наконец hiszpańska grypa.

Ta ostatnia wprost kosiła ludzi!

Zbliżam się do jednego szaleasu.

Kilka zatulonych postaci, leży na mierzwie liści i mchu.

— Tu czarna „szkarupa“ mówi wójt.

I ujrzałem jedną twarz tak straszną, że jej nawet ponura fantazyja Goyi nie była wstanie wymyśleć.

Dźwignęła się na naszą rozmowę jedna postać, zwróciła ku nam twarz — maskę, pokrytą krwawo czarną, spękaną łuską, spojrzała szparami oczu i z cichym jękiem opadła na mierzwę...

Inne cicho leżały...

Poszliśmy dalej.

— Tu tyfus plamisty — mówi wójt, gdyśmy stanęli przed drugim szalasem — wszyscy chorzy...

Nikt się z leżących nie ruszył...

Długo trwała nasza przechadzka po tem państwie najskrajniejszej nędzy.

Chciałem mieć zupełny jej obraz, a i coś mnie nie puszczało z tego miejsca...

— O! fantazyja, powiecie może, spekuluje na wrażenie! — Na szczęście mam świadków i to nie byle jakich, jak się przekonacie.

Po powrocie do domu, wprowadziłem w ruch cały aparat alarmowy. Poszły memoriały do ministrów i posłów, nawet depesza do rąk samego namiestnika!

A rezultat?... Przysłano kolumnę sanitarną, złożoną z medyka i kilku sanitaryuszy i sanitaryuszek na cały powiat!... Przyrzeczono założyć szpital epidemiczny, lecz mijały tygodnie, ba nawet miesiące, a przyrzeczenie to pozostało niespełnione. — A choroby tymczasem grasowały bezkarnie, szerząc się coraz bardziej, a chorzy... swobodnie chodzili po świecie, roznosząc zarazki najstraszniejszych chorób.

Dwa fakty opowiem.

Pewnego dnia, zgłosiła się do sądu kobieta z dzieckiem na ręku. Dziecko całą twarz, a także ciało, miało pokryte czerwonymi pryszczami, z których ropa się sączyła. Obecny wówczas w sądzie lekarz wojskowy, stwierdził prawdziwą ospę.

Matka zaliła się, że nie mając domu, wypędzona z powodu słabości dziecka z chaty, gdzie komornem siedziała, nie ma gdzie się podziać i prosiła, by dziecko gdzieś umieścić.

Cóż ja jej mogłem na to poradzić!

Szpital wojskowy był już w marszowym pogotowiu i nie przyjmował chorych, a innego szpitala nie było ani w miejscu, ani też na mile naokół.

Odeszła więc płacząc i ocierając ręką z twarzy dziecka sączącą się ropę i potem rękę wycierając o suknię, poszła do miasta i jeszcze późnym wieczorem widziałem ją krążącą po mieście i rozpowiadającą ciekawym o swej i dziecka swego doli...

Drugi raz znowu, gdy byłem w aptece, przyszedł człowiek... monstrum... Twarz jak bania spuchnięta, koloru ziemistego, a oczu prawie widać nie było. Prosił o lekarstwo i ofiarowując zapłatę, wyciągnął rękę o zgrubiałych palcach z popękaną skórą i złogami żółtej materii w tych miejscach...

Coś bardziej wstrętnego w życiu nie widziałem!

To tyfus głodowy!

I nie były to sporadyczne wypadki. Codziennie prawie to się widywało!

Lecz jakże to możliwe? Cóż władze na to? zapytacie.

Otóż rzecz tak się miała:

Od czasu ustąpienia wojsk rosyjskich, t. j. od lutego 1918 aż do późnego lata, żaden reprezentant władzy nie zjawił się, aby zbadać stan, w jakim powiat się znajdował.

Władzom wojskowym w głowie to nie powstało, a na władze cywilne, które zarząd

Stan powiatu sądowego Podkamień*)

1.	2.	3.	4.			5.	6.	7.	8.	9.	10.	11.
Liczba porządkowa	Nazwa gminy	mieszkańców a ych	liczba			Obecne pomieszczenie	Obszar gruntów pod uprawę w morgach	Zasiano i zasadzono na rok 1917/18	Obecne zapasy zboża na zasiewy oziminy na rok 1918/19	Stosunki zdrowotne	Szkolnictwo	UWAGA
			ca ych	w częściowo zniszczonych	zupełnie zniszczonych lub spalonych							
1	Podkamień	3500	440	80	130	po kilka rodzin w domach przeważnie bez okien i drzwi	2000	303	około 70 gospodarstw	3 wypadki ospy	szkoła zniszczona	
2	Czepiele	700	—	—	120	w okolicznych wsiach, ziemiankach, szałasach	700	—	—	—	dtto	
3	Czernica	2100	220	150	5	u siebie, w komornem	1000	$\frac{1}{3}$ część	około 100 gospodarstw	na czarną ospę zmarło 6 osób, chorych około 30 w 10 domach	dtto	
4	Dudyn	210	—	52	15	jak poz. 2.	345	8	—	—	dtto	zasiew zjadły myszy
5	Hołubica	1000	—	—	320	jak poz. 2.	601	30	—	—	dtto	dtto
6	Hucisko brodzkie	600	82	10	5	u siebie	301	200	około 30 gospodarstw	—	dtto	
7	Huta pieniacka	—	—	—	—	—	—	—	—	tyfus plamisty	—	brak dat, wedle podania doszczętnie zniszczona
8	Jaśniszcze	480	—	8	32	u siebie i w komornem	452	20	—	—	szkoła zniszczona	
9	Kutyszcze	430	4	40	60	po kilka rodzin w jednej izbie, szałasach, ziemiankach i okolicznych gminach	700	$\frac{1}{5}$ część	około 5 gospodarstw	—	dtto	
10	Litowisko	750	135	20	5	u siebie i w komornem	750	$\frac{1}{3}$ część	około 50 gospodarstw	—	dtto	
11	Majdan pieniacki	300	—	40	40	w ziemiankach szałasach i okolicznych wsiach	200	20	—	—	dtto	zasiew zjadły myszy
12	Maleniska	180	32	26 same bud. gosp.	5	u siebie	300	90	brak owsa, jęczmienia	—	dtto	
13	Nakwasza	1400	140	20	80	u siebie i w komornem	1000	570	około $\frac{1}{2}$ gospodarstw	7 dzieci na ospę, 7 tyfus plamisty z wynikiem śmiertelnym	dtto	
14	Niemiacz	750	50	25	40	w komornem, szałasach, ziemiankach	1000	50	około 20 gospodarstw	—	dtto	
15	Orzechowczyk	525	50	18	9	u siebie i w komornem	50	50	około 10 gospodarstw	—	dtto	
16	Palikrowy	850	10	40	140	w ziemiankach, szałasach i komornem	800	100	$\frac{1}{4}$ część	tyfus plamisty	dtto	
17	Pańkowce	370	77	4	2	u siebie	280	120	około 30 gospodarstw	8 ludzi na ospę	dtto	
18	Pieniaki	1500	—	—	300	w okolicznych wsiach, ziemiankach, szałasach	wyżej 1000	—	—	—	dtto	
19	Popowce	1300	5	7	155	jak wyżej	1200	55	około 10 gospodarstw	2 osoby na tyfus głodowy, 5 na ospę i tyfus plamisty	dtto	
20	Ściborówka	615	105	20	30	u siebie, w komornem i szałasach	520	70	około 5 gospodarstw	—	dtto	
21	Szyszkwice	640	15	30	25	w komornem, szałasach i budkach	900	110	kilka gospodarstw	około 12 osób tyfus plamisty, z tych 2 zmarło	dtto	
22	Tetylkowce	440	3	24	25	jak wyżej	400	35	6 gospodarstw	—	dtto	
23	Wierzbowczyk	565	50	10	60	u siebie, w szałasach i budkach	500	100	około 10 gospodarstw	—	dtto	
24	Zwyzn	1000	—	—	170	w ziemiankach, reszta w okolicznych wsiach	900	nic	—	grozi tyfus głodowy	dtto	zasiewy zjadły szczury i myszy

Podkamień, dnia 9. sierpnia 1918.

KOMITET RATUNKOWY W PODKAMIENIU:
Tarzyński sekretarz. Orobkiewicz prezes.

*) Ten stan uległ z początkiem jesieni znacznemu pogorszeniu, zwłaszcza pod względem zdrowotnym. Z powodu zaniedbania akcji sanitarnej, zarazy tyfusu i ospy przybrały zatrważające rozmiary, a gdy dołączyła się do nich hiszpańska grypa, śmiertelność w niektórych gminach wynosiła do 30 osób dziennie.

potem objęły, zwałił się taki ciężar czynności, ujęty w ramy czczej formalistyki, niedozwalającej na prędkie i skuteczne działanie, że rady dać sobie z nim nie mogły.

Do tego, brakło sił fachowych, a akcja obywatelska była z zasady ignorowana.

W Brodach, przez długi czas nie było ani lekarza powiatowego, ani wogóle żadnego cywilnego lekarza. Tak samo w okolicznych miasteczkach.

Powszechnie znana jest rzeczą, że z Galicyi wybrano nie tylko największy procent żołnierzy, lecz także sił fachowych, a między temi lekarzy. Gdy więc okazało się nagłe i pilne ich zapotrzebowanie, milami naokół nie było żadnego! Władze więc miejscowe nic na to poradzić nie mogły, władze zaś centralne, lekcewały sobie sprawę mimo, iż o stanie rzeczy miały dokładną wiadomość i mogły zaradzić złemu.

Nasz komitet słał ustawicznie memoryały, poparte dowodami, jak n. p. orzeczeniami i opiniami lekarza, komendanta szpitala wojskowego w Podkamieniu. Poseł do parlamentu z naszej okolicy, tak pisemnie jak ustnie interweniował bez ustanku w ministerstwach, na co dowód w wymienianych między nami pismach, lecz i jego interwencja pozostała bezowocną.

Prawda! We wrześniu zjechali ministrowie do nas, aby zwiedzić okolicę i osobiście przekonać się o położeniu i potrzebach ludności. Jednak sposób, w jaki ta objazdźka się odbyła i błyskawiczna jej szybkość, całą tę podróż przeistoczyła w niesmaczną farsę, na której poznali się nie tylko ludzie oświeceni, lecz nawet lud prosty.

I nadal zostało po staremu, aż do mego wyjazdu, t. j. do końca października 1918.

A przecież tak łatwo stosunkowo i niewielkim kosztem można było choć w części złemu zaradzić i nie dopuścić do stanu, który urągał najpierwotniejszemu pojęciu o obowiązkach rządu względem obywateli państwa.

Co do zaopatrzenia ludności w żywność, wskazałem już wyżej sposób, a że był dobry i skuteczny, to chyba każdy przyzna. Można było wczas stłumić również choroby i nie dopuścić do tych strasznych epidemii, gdyby przysłano lekarzy i założono szpitale. A wszak w oddziałach Czerwonego Krzyża, nie tylko w stołecznych miastach, lecz nawet w mniejszych, było aż nadto lekarzy.

To w razie potrzeby — udowodnić można.

Również, nie potrzebowali ludzie mieszkać w jamach i pod gołem niebem, na zimnie, wietrze i deszczu!

Materyału dość było, aby jeśli nie całe gospodarstwa, to przynajmniej domy mieszkalne odbudować. Do narady nad tą kwestyą, zaprosiłem księży z okolicznych wsi i światlejszych gospodarzy. Przekonaliśmy się, że w lasach, w odleglejszych od wsi ziemiankach, wreszcie częściowo i na drogach, dość jest materyału, który mógłby wystarczyć na odbudowę. Były wreszcie liczne baraki wojskowe, które jednak wojskowość, mimo interwencji, sprzedawała spekulantom wojskowym! W ostateczności, był przecież w pobliżu kompleks tysięcy morgów lasu państwa Brody!

Obrachowaliśmy też dokładnie, ile materyału potrzeba na jeden dom mieszkalny, a według tego, ile dla całej wsi. Największą trudność, stanowiłaby zwózka, dla braku dostatecznej ilości zaprzęgów, lecz i to było do przewyciężenia, gdyż tak księża jak i gospodarze zapewnili mnie, że wpłyną na gospodarzy posiadających konie, iżby pożyczili je na rzecz drugich. Zresztą, to miało być także warunkiem, pod którym oni sami mogliby korzystać z materyału.

I wyrób drzewa na budulec nie byłby trudny.

Informowałem się we właściwym miejscu i powiedziano mi, że możemy uzyskać tartak przewozowy.

I gdyby w lipcu, gdy tę sprawę poruszyliśmy, przystąpiono do tej akcji, pod jesień nie byłoby człowieka, któryby nie miał dachu nad głową!

Lecz w państwie austriackiem było to nie do pomyślenia: sprzeciwiałoby się zasadzie biurokratycznego „szimla“, którego torem toczyć się musiała każda, czy to mała i niepilna, czy też najżywotniejsza i niecierpiąca zwłoki sprawa.

Lecz jeszcze był jeden powód!

Od początku wojny w zasadzie, a od odbicia wchodniej Galicyi w czerwcu 1915 r. w praktyce, było dążeniem sfer rządzących, zdławić w Galicyi wszelką inicjatywę obywatelską.

Najświatlejszych obywateli, którzy mogliby byli korzystnie działać dla społeczeństwa, obłożono interdyktem. Nie dopuszczono ich do działania, wielu nawet bez żadnego powodu rzucano do więzienia lub internowano. Cała zaś maszynerya życia społecznego została „zcentralizowana“, kierownictwo zaś jej, dostało się w ręce notorycznych paskarzy i lichwiarzy!

Wszyscy o tem wiedzieli, wiedział o tem i sam rząd, lecz jemu z tem było wygodnie! Dla swych celów politycznych, poświęcał mienie, część i życie tysięcy ludzi!

I dlatego to sprzedajny żandarm i oszust oficer, mogli jawnie i bezkarnie deptać prawo, a najwyższy jego reprezentant Sąd, nic przeciw temu nie mógł zarządzić!

My, którzy w poczuciu obowiązku obywatelskiego, bez różnicy narodowości, wyznania i stanu zrzeszyliśmy się, aby pomóc ludności w jego strasznej doli, nieraz na wspólnych naradach zapytywaliśmy się wzajemnie, czy to możliwe, by takie stosunki istniały, czy niema już żadnej na to rady?...

I coraz to ktoś odpadał z naszego grona, zniechęcony tem tłuczeniem głową o mur, albo... zteroryzowany groźbami mocarzy-łotrów.

„*Iustitia regnorum fundamentum*“ „*Viribus unitis*“ czytało się jako oficjalne zasady rządowe.

Lecz to był blichtr tylko, za którym kryła się cyniczna twarz autokraty i niemieckiego centralisty!

W istocie zaś, w czasach absolutyzmu, Spielberg był dewizą rządów, a potem... „*divide et impera*“...

I zasadzie tej, pozostało państwo austriackie wierne... — aż do swego zgonu i konając nawet, jeszcze zatknęło żagiew nienawiści pod strzechę domu, który opuścić musiało.

Gdy przebrzmi odgłos walki, a roznamiętnione umysły narodów wrócą do spokoju i bez trującego wpływu, pod którym lat tyle przebywały, będą mogły zastanowić się nad przyczynami i skutkami walk bratobójczych, poznają, że one tylko pionkami były w rękach gracza aferzysty, dla którego zyskiem było ich straty!

Luty 1919.

CUDNE MIAŁEM WIDZENIE...



wiedziałem niedawno cmentarz.

Lubię cmentarze, zwłaszcza te stare, opuszczone i zapomniane...

Leżąc zdala od zgiełku, nieodłącznego od siedzib ludzkich, tchną one powagą i ciszą, które dziwnie kojąco działają na umysł.

I smutek, którym wionie to państwo śmierci, aczkolwiek głuszy radość życia, to jednak go nie zatrzuwa.

Przeciwnie! Trącając o struny duszy ludzkiej, pyłem codziennego życia często prześute, wydobywa on z nich tony, które dziwnie dobrze dostrajają się, tak do zgrzytów, jak i hulaszczey pteśni jego.

A odrywając swem „memento mori“ od spraw zwykłych i stawiając przed duszą, boską zagadkę śmierci, chroni on nas nieraz od upadku, w którym zgasnąć może ta iskra boża, jaką każdy człowiek na świat z sobą przynosi.

I przyroda w nich przemawia jakby innym głosem:

Poszum drzew, dziwne zawiera szelesty, jakby tłumiony rozgwar zmarłych, zwierających sobie nawzajem, grobowe tajemnice...

I świergot ptasząt odmienny... Nieraz zabrzmi kwileniem, jakby skargą tych, „co goryczy nie zaznali ni razu“, to znowu weselem, jakby pieśnią dusz wybranych...

...Lecz cmentarz, który zwiedzałem, inny był...

Nie otulały go trawy i mchów kobierce, nie ocieniały konary drzew, ani nie pieścił go ptasząt świergot...

Leżał u stóp wielkiego gmachu, tuż obok ludnej i gwarnej ulicy...

Wszak wiecie gdzie to?!

Grób koło grobu w prostym szeregu, a na nich krzyże drewniane...

I gdy tak patrzyłem na ten nowy gród śmierci, nagle w mej pamięci odżyły dawne, w dzieciństwie słyszane, ponure, a tak przecież wielkie i prawdziwe słowa poety:

„Szli sobie pielgrzymi przez światła manowce,

Przez Polskę nieszczęsną i biedną...

Mówili: To cmentarz! O prawda wędrowce!

Bo Polska a cmentarz, to jedno!“

I żal straszny targnął mi sercem i wydobył skargę:

Panie! Żali my zawsze krew siać będziemy i krzyże zbierać?!

Czyż niema już dla nas innej siejby, ni innego żniwa?!

Łat tyle... wiek przeszło już się krwawimy!

Co najdroższego, najlepszego, oddaliśmy w ofierze...

Lecz ciągle za mało... ciągle nowa krew płynie!

O! niedawno... i teraz... Takie to młode!

Ledwie do życia oczy przetańło, a już mu śmierć w nie zagląda...

I gdy się tak korzę w bólu i prośbie, wtem... jakiś głos mnie dolata!...
 Włapiam wzrok w groby... to od nich głos płynie...
 Z początku cichy, jak wiatru tchnienie... lecz coraz silniejszy... aż w dzwonu
 dźwięk wpada!...

O znam ten głos!
 Kto dzieckiem w kolebce raz go usłyszysz,
 Ten starcem go w trumnie nie zbędzie!
 To głos Zygmunta!
 Z krainy śmierci on wprawdzie wypływa, lecz życia tchnie świeżą kaskadą!
 A nad grobami, nad krzyżów lasem, których czas jeszcze nie zczernił,
 Światło rozbłyska!... z początku nikłe, jak zorza w kolebce,
 Lecz wnet silniejsze, aż słońcem się staje!
 A wśród promieni, co aż wzrok palą, jakaś się postać ujawnia...
 O znam ją także!
 We snach dzieciństwa, w męża pragnieniach nieraz mi się zjawiała...
 To Ona! Polska! Lecz Wolna i Zmartwychwstała!...

Nie zdobi jej bisior ni czerwień purpury, ani na głowie korona nie świeci...
 O szaty Jej... zbiry kości rzucili, co straż nad grobem spełniali.
 Koronę... na pruskie dukaty stopiono, aby jej katów opłacić!
 Więc Jej Lud swojej odzieży użyczył, wszak godnej Piastowskiej Macierzy!
 Samodziałową szatą Ją okrył, ramiona siermięgą narzucił...
 Na głowę zbóż Polskich wieniec Jej włożył, z makami spleciony pospołu...
 Męki to przeszłej jedyne wspomnienie, a dla przyszłości... przestroga!
 Miast berła, pochodnię do ręki Jej włożył, aby mu w życiu świeciła,
 By nigdy nie zboczył z Jej drogi!
 Blask z twarzy Jej bije... to wolności łuna, co z grobów tych wzięła początek...
 A moc tych promieni tak wielka potężna... że ciemń największą rozjaśnia!
 Gdzie blask ich padnie, tam życie się rodzi i śmierci znika zniszczenie!
 A blask to dobry... jakby matki dłonie... nie pali, ani oślepia...
 Budzi ciepło w sercach, rozumy oświeca... a duszom szle przebaczenie!

Radosną pieśnią rozbrzmiał dzwon Zygmunta i moc piorunu w nią wtłoczył!
 Kaskadą dźwięków rozlał się szeroką... po krańce Polski najdalsze...
 Biję głos jego o Tater skały, orły go w locie chwytają...
 I szlę na skrzydłach, Piastowskie te ptaki, swym skalnym braciom sąsiadom...
 Łowią je naszej Wisły odmęty, co krwią się tak często broczyły
 I toczą na falach w pospiesznym biegu, by podać je Morzu Polskiemu!
 Pod nimi walą się cielce złote, które nam przemoc stawiała...
 I szych odpada i dziergane hafty, co piętna niewoli skrywały!
 Kruszeje garnków malowanych czerep, którymi nam zmysły mamiono,
 Aż wreszcie najtwardszy pęk serca krzemień i w ciało i krew się przemienił!
 I jednym tętnem wszystkie serca biły, w takt głosu dzwonu
 Zygmunta —
 I Jedną Matkę wszystkie dzieci miały, lecz
 Wolną i Zjednoczoną!



Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000556780



III 118240

ILUSTROWAŁ MICHAŁ SOZAŃSKI — KLISZE
WYKONAŁ ZAKŁAD „UNIA” WE LWOWIE.
ODBITO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRA-
FIA” WE LWOWIE W CZASIE OBLĘŻENIA